NUMER 2. ROCZNIK II. LUTY 1898.

WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

A ktoby przyjął jedno dzieciątko takowe w imię moje, mnie przyjmuje.
(Mat xviii, 5).

Pomiędzy sprawami zbożnemi sprawą przedewszystkiem świętą jest pomagać Panu Bogu w zbawianiu ludzi.
(Św. Dyonizy).

Doskonała miłość bliźniego jest jednym z największych i najcelniejszych darów, jaki dobroć Boża ludziom udziela.
(Św. Franciszek Salezy).



Polecam wam szczególnie dziatwę i młodzież; starajcie się usilnie wychować ją po chrześcijańsku; dawajcie im do rąk takie tylko książki, które uczą jak unikać grzechu, a natomiast pełnić cnotę.
(Papież Pius IX).

Wytężajcie wszystkie wasze siły i wasze zdolności na to, aby dziatwę i młodzież ustrzedz przed sidłami zepsucia i niedowiarstwa i przygotować w ten sposób nowe pokolenie.
(Ojciec Św Leon XIII).

DA MIHI ANIMAS CÆTERA TOLLE

Wychodzą raz na miesiąc i posyłają się *bezpłatnie* **Pomocnikom salezyańskim, stósownie do życzenia, w języku włoskim, francuskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim lub polskim.**

Adres: Redakcya „Wiadomości salezyańskich" **TURYN**, via Cottolengo 32. **ITALIA**.

Odpusty, jakie zyskać mogą Pomocnicy salezyańscy.

Na mocy Brewe Ojca św. Piusa IX, *z dnia 9go maja* 1876 *r., każdy* **Pomocnik i Pomocnica** *salezyańska może zyskać wszystkie bez wyjątku odpusty, tak* **zupełne,** *jako i* **cząstkowe,** *których dostępują* **Tercyarze** *zakonu św. Franciszka z Asyżu.*

(*Zob.* Ustawy dla Pomocników salezyańskich, *str.* 18-28).

Prócz tego zyskać mogą **Pomocnicy** *nasi:*

a) *odpust* **zupełny** *raz na dzień, jeżeli odmówią trzecią część Rożańca św. przed Najśw. Sakramentem, a w razie niemożności, przed krucyfiksem. — Odpust ten ofiarować mogą za dusze w czyscu cierpiące;*

b) *odpust* **zupełny** *za każdym razem, jak przystąpią do Komunii św.;*

c) *tyle odpustów* **zupełnych** *w ciągu dnia, ile razy na intencyą Ojca św. zmówią* 6 Ojcze nasz, 6 Zdrowaś i 6 Chwała Ojcu.

Odpusty te, które można także ofiarować za dusze, w czyscu cierpiące, zyskać można **toties quoties**, *to znaczy: ile tylko razy odmówi się wyż podane modlitwy, na jakiembądź miejscu, nie potrzebując przytem zgoła przystępować do Sakramentów św., wystarczy bowiem być w stanie łaski Bożej;*

d) *odpust* **zupełny** *w każdą niedzielę i w dni poniżej wymienione, jeżeli wyspowiadawszy się w ciągu tygodnia i do Komunii św. przystąpiwszy jaki kościół albo kaplicę publiczną nawiedzą i tam na intencyą Ojca św. się pomodlą.*

Marzec.

8. Św. Jana od Krzyża.
9. Św. Franciszki Rzymianki, wdowy.
11. Św. Katarzyny bolońskiej.
19. Św. Józefa, Oblubieńca Najśw. Maryi Panny.
25. Zwiastowanie Najśw. Maryi Panny.

MODLITWA
NA KONIEC WIEKU.

Kongregacya św. Odpustów zatwierdziła i odpustem 100 dni, raz na dzień dostąpić się mogącym, uposażyła następującą modlitwę:

Daj nam, najłaskawszy Boże, za przyczyną **Błogosławionej Niepokalanej Dziewicy,** *abyśmy naszej pokuty łzami winy tego kończącego się wieku obmyli, a początki nadchodzącego tak przygotowali, aby cały ten przyszły wiek poświęcony był chwale Twojego Imienia i Królestwa* **Jezusa Chrystusa,** *Syna Twego, któremu niech wszystkie narody służą w jedności wiary i doskonałej miłości. Amen.*

(Odpust ten ofiarować można za dusze zmarłych, w czyscu cierpiące.)

MISYA
wśród trędowatych
w rzeczypospolitej Kolumbii
(południowa Ameryka).

Bogotá, dnia 15go sierpnia 1897 r.

Przewielebny i ukochany Ojcze,

Powróciłem cotylko z „*miasta boleści,*" jak tu powszechnie nazywają *lazaret* trędowatych w Agua de Dios.

Cel mojej podróży do tej osady był wieloraki: przedewszystkiem pragnąłem odpocząć nieco po trudach misyjnych, doznanych w miesiącu lipcu, poświęconym tutaj Matce Boskiej *del Carmine* (Szkaplerznej), tudzież odetchnąć powietrzem, o wiele cieplejszem, niż w Santa Fé de Bogotá, gdzie klimat w ciągu roku zawsze jest jednakowy: — życzyłem sobie dalej przepędzić w Agua de Dios święto *Matki Boskiej Szkaplerznej,* która jest Patronką biednych tamtejszych trędowatych, a zarazem spędzić dni kilka w towarzystwie naszych współbraci w zakładzie, jaki tam posiadamy; — wreszcie zamierzyłem sobie zbadać dokładnie i poznać z bliska potrzeby i braki samegoż *lazaretu.*

Zastałem współbraci naszych niekoniecznie przy dobrem zdrowiu; jest bowiem zgoła niepodobnem nie ściągnąć na siebie jakiej choroby w tamtejszym klimacie rozpalonym, mając do tego ustawicznie istny stek nędzy ludzkiej przed oczyma. Bądź co bądź, napotkałem wszystkich przy pracy, pełnych dobrej woli i gotowych do poświęcenia się na wszystko.

W Agua de Dios. — Odpust. — Nowość. — Niebezpieczeństwo zarażenia się trądem. — Ludność. — Nadzieje i zawód, zgotowany zastosowaniem *surowicy* do leczenia trądu.

Obchód święta *Matki Boskiej Szkaplerznej* wypadł świetnie, jak tego zresztą można było spodziewać się po ludności, znajdującej się w podobnych, co biedni kalecy w Agua de Dios, okolicznościach. Sądzę, że nie mylę się, twierdząc, iż w główne święto rozdano co najmniej 800 Komunikantów, po większej części samym trędowatym. Było nas wtenczas w kościele sześciu kapłanów: trzech sprawowało św. Ofiarę przy wielkim, trzech zaś przy bocznym ołtarzu. Nie brakło także kazania na cześć Matki Boskiej, wygłoszonego przez wielkiego naszego przyjaciela a dobroczyńcy trędowatych, X. Leopolda Medina, założyciela *Towarzystwa św. Łazarza,* liczącego w swem gronie co najznakomitsze panie w stolicy (Santa Fé de Bogotá).

Wieczorem, gdy gorąco nieco ustało, odbyła się procesya, w której wzięło udział kilkaset chorych i zdrowych. Procesye kościelne zawsze są piękne; lecz najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek widziałem w mojem życiu, są procesye w Agua de Dios. Wszystkie inne mogą zwracać na się uwagę ilością uczestników, mnóstwem światła, pięknością chorągwi, obrazów i statuy, dobraną kapelą, pięknym śpiewem i t. d.; lecz procesyi, złożonej z kilkuset samych kalek, — i to jeszcze jakich! — nie da się z pewnością widzieć nigdzie, jak tylko w Agua de Dios. *Towarzysze św. Alojzego, Córki P. Maryi, Towarzysze i Towarzyszki św. Jó-*

zefa, *Towarzystwa czcicieli Najśw. Sakramentu*, — każde z nich poprzedzone swemi chorągwiami, — tworzyły szereg bardzo długi. Na ostatku niesiono statuę *Matki Boskiej Szkaplerznej*; dźwigały ją na swych ramionach *Córki Panny Maryi*, za któremi postępowali kapłani, śpiewając hymny na cześć Niebieskiej Dziewicy, pochód wreszcie zamykała masa narodu, w nastroju uroczystym. Od czasu do czasu przystawano na chwilę; wówczas chór, złożony z trędowatych śpiewaków, odśpiewywał uroczyste *Salve Regina*; poczem celebrans błogosławił ludowi, padającemu na kolana w kornej postawie.

W inne lata mieliśmy na procesyi także kapelę; tym wszakże razem, dla wielkiego ubóstwa, nie było można się na nią zdobyć. Lecz mniejsza o nią; *Królowa Szkaplerza św.* niezawodnie nie była dlatego mniej zadowoloną z hołdu, jaki jej złożyły istoty najnieszczęśliwsze na tej ziemi, a temi są bez wątpienia biedni trędowaci. Powiedziałem, że „nie mogliśmy tym razem mieć kapeli“ dla uświetnienia uroczystości; lecz odtąd już jej więcej nie zabraknie.

Właśnie jedna z nowości, jaką zastałem za ostatnim moim pobytem w *lazarecie*, była tworząca się dopiero, a jednak od razu wcale pokaźna kapela. Założona zaledwie trzy miesiące temu, uczyniła już znaczne postępy i niezadługo stanie się rzeczywistą ozdobą obchodów uroczystych w *lazarecie.* Jeżeli się nie mylę, to z niewielu wyjątkami wszyscy, składający ją muzykanci, są trędowatymi, a już sam widok tych biedaków, przepędzających codziennie kilka godzin na wysyłaniu do instrumentów muzycznych reszty tchu, jaki im pozostał, porusza do głębi i rozrzewnia. Nie trzeba jednak sądzić, jakoby to czynili z musu, nakazu, lub niechętnie; owszem, gra na instrumentach muzycznych sprawia im największą przyjemność; być członkiem *kapeli*, stanowi nagrodę dla najlepszych z nich i najpilniej uczęszczających do *kaplicy świątecznej*; jest środkiem, by zachęcić ich do dobrego i przyciągnąć nawet najbardziej opieszałych do uczestniczenia w nauce i zabawach tejże *kaplicy*.

A jakim sposobem zaopatrzyli się w instrumenta muzyczne? Otrzymali je w darze od rządu, choć co prawda, wszystkie instrumenta są już stare i prawie zużyte. Wiem, że Przełożeni salezyańscy z A g u a d e D i o s pisali w tej sprawie do fabryk włoskich, w szczególności zaś do medyolańskiej, by im nadesłano kilka instrumentów nowych. Dałby Bóg, żeby je można co prędzej otrzymać! Byłby to świetny podarek dla biednych trędowatych.

A kapelmistrz? Jest nim nasz kleryk, Alojzy VARJARA, dusza, życie i główna podpora miejscowej, nader kwitnącej *kaplicy świątecznej*, do której uczęszczają wszyscy prawie chłopcy z *lazaretu*.

Tu zapyta mnie niezawodnie najukochańszy Ojciec, czy w rzeczonej szkole muzyki brat nasz A l o j z y nie jest przypadkiem wystawiony na niebezpieczeństwo zarażenia się trądem. Z pewnością, że jest na nie wystawiony, taksamo jak każdy kapłan, co godzinami słucha trędowatych spowiedzi, a zwłaszcza kiedy znajduje się przy łożu umierających; niebezpieczeństwo zarażenia się grozi również takiemu kapłanowi, który trędowatym odprawia Mszę św., rozdaje im Komunię i prawi kazania w ich kościele. Żyć w ciągłej styczności z tylu trędowatymi i chcieć uniknąć niebezpieczeństwa zarazy, jest samo przez się niepodobnem. Wszechmogący wszakże Bóg i Najśw. Marya Panna W s p o m o ż y c i e l k a potrafią uchronić ukochanych braci naszych od wszelkiego niebezpieczeństwa. Zresztą wszyscy czterej Salezyanie, przebywający obecnie w A g u a d e D i o s, gotowi są złożyć swe życie Panu Bogu w ofierze; a w takim razie nie będzie im straszną powolna śmierć z trądu i nie stanie się dla nich nieszczęściem, ale szczęściem najwyższem, jak niem była dla bohaterskiego O. DAMIANA, męczennika miłości chrześcijańskiej, który umarł z takiej choroby na wyspie M o l o h a y.

W *lazarecie* w A g u a d e D i o s znajduje się obecnie 1,070 trędowatych, zdrowych zaś blisko 2,000. W miesiącu styczniu liczba pierwszych dochodziła do 1,500, wielu bowiem z nich ściągła do A g u a d e D i o s nadzieja wyleczenia się z trądu z pomocą t. z. *surowicy*. Niezadługo jednakże zabrakło w osadzie środków utrzymania i pomieszczenia dla wszystkich, zaczem kilkaset trędowatych musiało wrócić do swych gmin i na łono własnych rodzin.

Co się zaś tyczy stósowania *surowicy* do leczenia trądu, to już od dwu lat z górą tak w B o g o t á, jak w A g u a d e D i o s i również w *lazarecie* w C o n t r a t a c i o n, czynią się odnośne próby i doświadczenia; jednak dotychczasowe wyniki nie były zadowalniające. Być może, że kiedyś nauka odnalezie wielki sekret leczenia tej strasznej choroby w samejże *surowicy*, lepiej, aniżeli obecnie zastosowanej; ale jak na teraz wszystkie nadzieje, do tej ostatniej przywiązywane, spełzły na niczem. Straszny to zawód dla biednych kalek kolumbijskich! Obecnie oczy wszystkich tutejszych biedaków są zwrócone na B e r l i n, gdzie w przyszłym październiku ma podobno

odbyć się zjazd lekarzy, który między innemi ma się także zająć kwestyą trądu. Oby Bóg Wszechmogący raczył poddać zebranym uczonym jaki środek ku zniszczeniu tego *rey de los espantos* (króla strachów), a będzie go błogosławić *trzydzieści tysięcy* trędowatych Kolumbijczyków i tysiące innych, rozproszonych po całym świecie.

Jeszcze jeden szpital dla trędowatych, powierzony Salezyanom.

A teraz, najukochańszy Ojcze, udaję się do Ciebie z prośbą, a raczej (powiem to zaraz), powtórzeniem prośby, z jaką po wielekroć już zwracano się do mnie.

Kilka dni temu odebrałem od władz departamentu Santander list, pełen nalegań, bym czemprędzej posłał jakiego Salezyanina do *lazaretu* w Contratacion. Już od dwu przeszło lat zanosi się tam na założenie domu salezyańskiego; jest to gorącem życzeniem krajowych władz, duchownych i świeckich, najgorętszem zaś pragnieniem ośmiuset przeszło tamtejszych trędowatych. Dotychczas wszakże nie było to możliwem dla zupełnego braku personalu. Zeszłego roku mieliśmy już zamiar udać się tam, lecz wkrótce potem przyszedł rozkaz, aby rozpocząć misye na tak zwanych *równinach San Martin* (*Llanos de San Martin*) i takim oto sposobem trzeba było zaniechać naszych zamysłów. Teraz jednakże potrzeba zajęcia się tym szpitalem staje się więcej, niż kiedykolwiek, naglącą. Nie tak dawno temu odwiedzał tych biedaków przynajmniej raz na miesiąc proboszcz z pobliskiej parafii; teraz jednak już się to nie dzieje, księdza bowiem przeniesiono gdzieindziej, i tak biedni trędowaci w Contratacion, pozbawieni są od owego czasu wszelkiej pomocy religijnej. Jeżeli zaś kto na tym świecie potrzebuje kapłana i pomocy duchownej, to z pewnością trędowaty, istota, ze wszystkich najwięcej cierpiąca. Wszyscy Salezyanie, przebywający w Kolumbii, gotowi są tam iść, lecz naszym dobrym chęciom stoi ciągle na przeszkodzie brak personalu, z pewnością dobrze Tobie, najukochańszy Ojcze, znany. Nie jest wcale wiele to, czego żądam na otwarcie tego domu: niech nam Ojciec przyśle choćby tylko jednego księdza, byle dobrego, gorliwego, któryby się nie brzydził szpetnymi wrzodami i nie bał się śmierci; dołączyćby można z jednego braciszka, ale *świątobliwego*, któryby się znał nieco na kuchni, umiał zawiadować zakrystyą i był gotów z miłości Bożej poświęcić się na wszystko dla dobra bliźnich. Tacy dwaj pomocnicy na razie by nam wystarczyli.

W kolegium naszem w Fontibon mamy 40 kleryków, Kolumbijczyków, gotowych każdej chwili udać się do trędowatych, a tak, łącznie z tym niewielkim zasiłkiem, o jaki najukochańszego Ojca proszę, moglibyśmy kiedybądź otworzyć w mowie będący dom i przyczynić się do zbawienia tylu dusz, które obecnie giną z powodu zupełnego braku pomocy religijnej.

Biedni! Straszna to rzecz dla nich cierpieć dwojakie męki piekielne: jedne w tem życiu i na tym świecie, drugie zaś na wieki po swojej śmierci. A ponieważ nie jest nam danem wybawić ich od piekła doczesnego, to ratujmy ich przynajmniej od wiecznego, zwłaszcza, gdy się to da osiągnąć niewielką stosunkowo ofiarą z naszej strony.

Przyślij nam ich więc, drogi Ojcze, przyślij tych dwóch współbraci, a nie zwlekaj długo z pomocą. Sposobność nadarza się w sam raz. Jeśli się nie mylę, są już na wyjezdnem Salezyanie, udający się do Curaçao, by tam dom otworzyć; niechże Ojciec dołączy do nich jeszcze z paru dla naszych misyi na *Llanos de San Martin*, — to tem lepiej: wtenczas bowiem zdziałamy o wiele więcej dobrego; ale gdyby to nie było możliwem, w takim razie pozwól sobie przynajmniej powtórzyć prośbę, z jaką trędowaci ewangeliczni zwracali się do Boskiego Mistrza: *Jesu praeceptor, miserere nostri!* (Jezusie Nauczycielu, zmiłuj się nad nami!). Pan Jezus, dobroć wcielona, natychmiast udarował ich zdrowiem i napełnił serca dziesięciu z nich weselem niewymownem. Niech drogi Ojciec raczy przychylić się do mojej prośby, a temsamem napełni niezmierną radością serca nie już dziesięciu, lecz setek trędowatych, ilu ich jest w Santander i okolicy, a dochodzą tam do wielu tysięcy.

Rokowania o założenie wielkiego, ogólnego szpitala narodowego dla trędowatych w Kolumbii.

Najukochańszy Ojciec zapewne zapragnie także wiedzieć, jak daleko się posunęła sprawa założenia wielkiego szpitala narodowego dla trędowatych, wdrożona już przed dwoma laty. Życzenie Ojca gotów jestem zaspokoić.

Pomiędzy ustawami, uchwalonemi na ostatnim kongresie narodowym, jaki odbył się tu w Bogotá w roku 1896, jest jedna, zatwierdzona przez wszystkich prawie przedstawicieli narodu obu Izb i przyjęta (z małym wyjątkiem) radośnie od wszystkich Kolumbijczyków, która stanowi, by wybudować wielki szpital dla trędowatych na wyspie

Coiba na *Oceanie spokojnym*, w odległości 400 kil. od Panama. Na rozpoczęcie prac przeznaczyło *Ciało prawodawcze* ryczałtem kwotę 200.000 talarów. Uchwała ta ma już moc prawa.

Wiele razy już zamierzałem był puścić się ku tej wyspie i rozpocząć tam prace przygotowawcze. Lecz w tym razie chodziło o wydalenie się z domu na kilka miesięcy, tego zaś nie śmiałem uczynić bez wyraźnego pozwolenia ze strony Przewielebnego Ojca. W tym właśnie celu pisałem niedawno do Turynu, a najdroższy Ojciec raczył odpowiedzieć mi, pochwalając we wszystkiem moje zamiary, z tym wszakże dodatkiem, bym jeszcze zaczekał, dopóki nie przybędzie ten, co miał zająć moje miejsce w domu naszym w Bogotá.

Inne także jeszcze, mniejszej wagi, pobudki wpłynęły na zmianę mego pierwotnego postanowienia.

A najpierw wielkie niezadowolenie, jakie zaczęło się szerzyć pomiędzy ludnością całego wybrzeża *Oceanu spokojnego*, a w szczególności na przesmyku Panamy z powodu codopiero uchwalonej ustawy; prosta więc roztropność radziła zatrzymać się, dopóki wzburzone umysły się nie uspokoją.

Powstrzymał mię dalej wzgląd na to, iż rzeczpospolita Kolumbii obecnie gotuje się do wyboru prezydenta, w którym to czasie trzeba każdej chwili obawiać się wybuchu rewolucyi z powodu niezgody stronnictw politycznych, ubiegających się o naczelną władzę; udawać się zatem na daleką wyspę, prawie bezludną, oddaloną o 400 km. od lądu stałego, ... a nuż wybuchnie rewolucya ..... także w tym razie wypadało kierować się roztropnością i zaczekać.

Jednakże po skończonych wyborach rozpoczną się na nowo, chwilowo przerwane prace i mam w Panu nadzieję, że wszystko się jeszcze da zrobić i wyjdzie na nasze wspólne dobro. W sam czas zbliża się Zjazd lekarzy w Berlinie, a uchwały, jakie tam zapadną, przyczynią się niezawodnie do poparcia naszego projektu, jakim jest założenie jednego, wielkiego szpitala na wyspie, — co jest jedynym środkiem, by całkowicie odosobnić nieszczęśliwe kaleki i, co za tem idzie, uniknąć dalszego szerzenia się choroby, tyle straszliwej i tak głęboką u wszystkich wzbudzającej odrazę.

Pomnik dla X. Michała UNIA.

Ponieważ w niniejszym liście nie mówiłem o czem innem, jak tylko o *trędowatych* i o *szpitalu*, zatem pozwolę sobie zakończyć go wiadomością, że *kongres* rzeczypospolitej Kolumbii, który się zebrał w r. 1896, uchwalił jednomyślnie ustawę, by naszemu ś. p. księdzu Michałowi Unia postawić posąg marmurowy na placu w Agua de Dios, na wieczną pamiątkę jego poświęcenia się dla nieszczęśliwych trędowatych.

Było to w grudniu r. 1896, właśnie w pierwszą rocznicę śmierci naszego drogiego i niezapomnianego współbrata. Rząd rzeczypospolitej Kolumbii, pomny, iż należy się wdzięczność temu, co złożył w ofierze własne życie dla istot najnieszczęśliwszych, ogłosił, co następuje:

KONGRES KOLUMBII

zważywszy,

że Wielebny **X. Michał UNIA**, *zmarły w* **Turynie** *dnia 9go grudnia r.* 1895, *z zaparciem siebie i z poświęceniem heroicznem oddał niespożyte usługi naszej Ojczyźnie:*

uchwala:

Artykuł 1. — *Ma się uczcić pamięć Wiel.* **X. Michała UNIA**, *kapłana Zgromadzenia salezyańskiego;*

Artykuł 2. — *W dowód wdzięczności wykona się: jego* **portret olejny**, *który zostanie przeznaczony dla* **Towarzystwa św. Łazarza** *w stolicy, i* **posąg marmurowy**, *który się wzniesie na placu w* **Agua de Dios**.

Obydwie te pamiątki będą nosić następujący napis:

WIELEBNEMU X. MICHAŁOWI **UNIA**
APOSTOŁOWI TRĘDOWATYCH W KOLUMBII
WDZIĘCZNY NARÓD.

Artykuł 3. — *Suma, potrzebna na wykonanie niniejszej uchwały, uważa się jako już zawarta w preliminarzu budżetowym na rok przyszły.*

Artykuł 4. — *Kopia autentyczna zapadłej uchwały będzie wysłaną na ręce Przełożonego głównego* **Zgromadzenia salezyańskiego** *w* **Turynie** *i Przełożonego* **OO. Salezyanów** *w naszem mieście.*

Dan w **Bogotá**, 10go *grudnia* 1896.

Prezydent Senatu:
Belizaryusz PEÑA.

Prezydent Izby poselskiej:
Dyonizy JIMENEZ.

Sekretarz Senatu:
Kamil SANCHEZ.

Sekretarz Izby poselskiej:
Michał A. Pañaredonda.

Władza Wykonawcza w **Bogotá,**
11[go] *grudnia* 1896.

Uchwała ma być ogłoszoną i wykonaną.
M. A. Caro.

Minister Rządu wykonawczego:
Antoni Roldani.

Poklask, jaki sobie *kongres* zjednał uchwaleniem powyższej ustawy, był powszechny. Pora wyboru nowego prezydenta rzeczypospolitej opóźniła wprawdzie jej wykonanie i ustawa pewnie nie wejdzie w życie prędzej, aż po skończonej kampanii wyborczej, ale posąg księdza Michała Unia stanie bez żadnej wątpliwości.

A teraz, najukochańszy Ojcze, kończę już list naprawdę, Ojciec zaś niech raczy wypłacić mi się zań osobnem błogosławieństwem, obejmującem wszystkich Salezyanów naszej *Inspektoryi* (prowincyi), zwłaszcza tych, co pracują najwięcej i najlepiej: w Agua de Dios i na *Llanos de San Martin.* Pozostaję Twoim w Panu

najprzywiązańszym synem

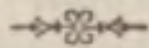
X. Ewazy Rabagliati.



MISYE

X. Dominika MILANESIG

NA PAMPAS PATAGOŃSKICH.



(Ciąg dalszy).

2. Nad jeziorem *Nahuel-huapi.* — *Camarujo* na cześć *„wielkiego ducha.“* — Uległość Indyan dla misyonarzy.

Kiedy już nadeszła chwila naszego odjazdu, pożegnałem poczciwych Tehuelches i skierowałem wycieczkę w stronę jeziora *Nahuel-huapi*, największego w całej Patagonii i zasługującego słusznie na nazwę króla jezior patagońskich. Ażeby się tam jednakże dostać, trzeba było ujechac konno blisko 200 *leguas* (mil) po niezmierzonych, prawie nigdzie końca nie mających puszczach, przeprawiać się przez doliny i wyniosłe góry, na szczycie których wzrok się napawa czarującym widokiem wiecznych, dotkliwe zimno wionących śniegów, albo zielonych, niedostępnych i nieprzebytych prawie lasów, wśród których łatwo może pobłądzić, kto się w nie zapuszcza, nie mając przy sobie świadomego tych okolic przewodnika; często znowu droga prowadziła przez łąki, których zieleń ustawicznie wabiła do siebie i nieprzepartą stanowiła dla naszych koni pokusę, zatrzymując je co chwila i tym sposobem opóźniając podróż; napotykaliśmy także piękne grzędy, zasiane od samejże przyrody rumianemi poziomkami, wdzięczącemi się do spragnionego jeźdzca i zapraszającemi go do zejścia z konia, by dać wypocząć strudzonym członkom i pokrzepić długą jazdą wyczerpane siły.

Nad brzegami jeziora *Nahuel-huapi*, którego nazwa w naszym języku oznacza *„wyspę tygrysa,“* założyli byli OO. Jezuici w roku 1700 kwitnącą misyę. Niestety, niedługo zdołała się ona utrzymać, gdyż już r. 1714 dzicy tubylcy nietylko spalili wszystkie budynki misyjne, lecz nawet wymordowali dzielnych apostolskich pracowników. Dziś brzegi tego jeziora zaludniają nieliczne rodziny krajowców, tudzież mniejsza jeszcze garstka ludzi ucywilizowanych, składająca się przeważnie z Argentyńczyków i Chilijczyków.

Gdy pewnego dnia poszedłem ich odwiedzić, zastałem Indyan, składających właśnie ofiarę na cześć *„wielkiego ducha,“* którego w tych stronach Patagonii zowią *Gne-che.* Uroczystość ta i połączone z nią składanie ofiar znane są pod nazwą *camaricuy*, albo *camarujo.* Odbyła się w następujący sposób.

Zabiwszy jagnię, wytoczyli Indyanie najprzód z największą starannością jego krew do wielkiej misy, na to, by jej niezadługo użyć do kropienia; potem, wyjąwszy serce jagnięcia, zawiesili je na jednej z trzech włóczni, utkwionych w ziemi, jako godło siły i mocy, na około którego miały się odbywać tańce; następnie, obrawszy jak się należy i ogołociwszy kości z mięsa, pogrzebali je z wielką czcią, mięso zaś wrzucili do kotła, ażeby je ugotować.

Przy takiej uroczystości nie mogą się obejść bez t. z. *pulcu:* jego brak uważanoby za ciężkie uchybienie ceremoniałowi. *Pulcu* jestto pewnego rodzaju *syrop*, albo *jabłecznik*, wyciśnięty z owoców polnych, zwłaszcza z jabłek. Trunek ten jest nadzwyczaj upajający, stąd nad wszystkie inne nadaje się do orgii i pijatyk, jakiemi regularnie kończy się *camarujo.*

Mężczyzni i niewiasty, przywdziawszy najlepsze swoje szaty, zasiedli w około owych trzech włóczni, podczas gdy *perimontán* (wieszczka, albo czarownica) bijąc pałeczką w bęben, śpiewała następującą modlitwę:

„O, wielki duchu, Ty, który jedyny jesteś wszechmocnym, coś stworzył świat i nim rządzisz, zmiłuj się nad nami!

Pociesz nas w naszych troskach!

Od Ciebie pochodzi wszystko, co jest dobrem.

Za Twoją sprawą ziemia rodzi i dojrzewają owoce.

Któż może równać się Tobie i Twojej potędze?

Dzieci nasze są Twojemi.

Jeżeli posiadamy trzody owiec, krów, albo koni, wszystko to mamy z woli Twojej.

Z Twojej woli ziemia rodzi zboże, ziemniaki, cebulę, czosnek i pignoni.

Z nastaniem posuchy wymiera trawa na pastwiskach, przez co chudnie bydło i pada.

Lecz Ty, który jesteś dobry i pełen miłosierdzia, racz wysłuchać nasze jęki, przyjmij litośnie nasze modlitwy i ześlij nam deszcz!

We snach przemawiaj do nas i objawiaj nam prawdę!

A gdy nieprzyjaciel zbliży się do nas, Ty pobłogosław te włócznie i dodaj nam męstwa, byśmy z nim walczyli i go zwyciężyli.“

Te i inne podobne rzeczy śpiewała wróżycha, podczas gdy wszyscy obecni słuchali jej z natężoną uwagą, powtarzając głośno niektóre wyrazy, przez nią wymówione.

Od czasu do czasu powstawała jaka niewiasta i maczając palce we krwi jagnięcia, kropiła nią włócznie i ziemię w około. W tym samym czasie mały chłopczyk obchodził siedzących w około i podawał każdemu kubek *pulcu* (syropu, albo *jabłecznika*).

Misyonarz, który wie doskonale, do jakiego stopnia dochodzi pijaństwo i rozpusta pod koniec podobnych uroczystości, zwłaszcza kiedy w nich biorą udział tak zwani *„cywilizowani,“* stokroć gorsi od samychże pogan, — żadną miarą nie może milczeć i zezwolić na te wszeteczeństwa.

Przychodzi mu to tem łacniej, iż są wogóle nader życzliwie dlań usposobieni i chętnie słuchają głosu Posłańców Bożych.

Zaczem i ja wówczas wszedłem śmiało do ich koła, przerwałem śpiew wróżki, a zabrawszy głos, powiedziałem im, że ja misyonarz i kapłan właśnie tego *„wielkiego ducha“* prawdziwego, którego oni zeszli się teraz wielbić i chwalić w sposób bałwochwalczy, przyjechałem z dalekich, bardzo dalekich krajów, po to, ażeby im dać poznać prawdziwego Boga i ażeby ich nauczyć, jak Go mają miłować i Jemu wiernie służyć, a to w sposób, w jaki on sam pragnie cześć od ludzi odbierać, za co po śmierci wspólnie z nim będą w niebie królować i wespół się po wszystkie wieki cieszyć. Żeby jednakże tego szczęścia mogli dostąpić, powinni niezwłocznie to miejsce opuścić i wrócić do swoich namiotów.

Na moje skinienie powstali wszyscy jak jeden mąż, opuścili miejsce, przeznaczone na *camarujo* i udali się do pewnego obszernego namiotu, zapraszając mnie, ażebym tam wspólnie z nimi poszedł i nauczył ich tych wszystkich pięknych rzeczy, o jakich co dopiero słyszeli.

Oczywiście, z największą chęcią przyjąłem zaprosiny, poszedłem z nimi do namiotu i powiedziałem tam pierwszą naukę, zabawiając ich nieco dłużej, niż godzinę, i dając im poznać prawdziwego Boga.

Ponieważ zaś nie przestawali zgromadzać się około mnie i chętnie przychodzili mnie słuchać, zatem mogłem ich nauczyć zasad Wiary świętej i dobrych obyczajów, oraz przysposobić do otrzymania Chrztu św.

W ostatnim dniu przed moim odjazdem byli wszyscy obecnymi na Mszy św., jaką na ich intencyą odprawiłem, słuchali jej z prawdziwem nabożeństwem i przyjęli Komunią św., którą im, do łez wzruszony, udzieliłem. Przyjmując Chrystusa Pana do serc swoich, samiż dzicy płakali z radości.

Przed samym odjazdem udzieliłem im również Sakramentu Bierzmowania św. Niech Duch Św., który na nich zstąpił, utrwali ich w prawdziwej Wierze, niech ich zachowa w stanie łaski i udzieli im potrzebnej siły do zwyciężenia nieprzyjaciela duszy!

Wiele innych jeszcze, budujących szczegółów, z ostatnich moich wycieczek misyonarskich miałbym do nadmienienia, lecz widzę, że i bez tego mój list stał się bardzo długim. Zatem, jak na teraz, kończę.

Pobłogosław, najukochańszy Ojcze, przywiązanego syna Twego i racz zawsze i ciągle polecać mnie Panu Bogu i Matce Najświętszej Wspomożycielce!

X. Dominik Milanesio.

(Dokończenie nastąpi).



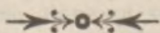


PIERWSZE DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE ORATORYUM SALEZYAŃSKIEGO,

założonego przez

X. Jana Bosko.

Napisał X. Jan Bonetti.



Rozdział XII.

X. Bosko w Sassi. — Wychowankowie *szkół chrześcijańskich*. — Zapał młodzieńczy. — Podwójny kłopot. — Miłość ku dziatwie i młodzieży działa cuda. — Śmierć Ojca św., Grzegorza XVI, i wybór Piusa IX. — Śmiertelna choroba. — Miłość młodzieży dla X. Bosko. — Wyzdrowienie księdza Bosko. — Uniesienie młodzieży z tego powodu. — Odwiedziny w Becchi.

Wszędy i po wszystkie czasy młodzież całem sercem lgnęła zawsze do tych, co szczerze ją miłowali i pragnęli rzeczywistego jej dobra. Rzesze dziatwy i młodzieży cisnęły się w Palestynie około osoby Boskiego naszego Zbawiciela, gdyż On jednę i drugą miłował więcej i lepiej, niż czuły ojciec własne dziatki. Do św. Filipa Nereusza, gdzie tylko się pojawił, garnęła się zewsząd młódź, którą *Apostoł Rzymu* opiekował się z niewysłowioną dobrocią. Jak za naszych zaś czasów młodzież i dziatwa przywiązywała się do X. Bosko, o tem świadczą dowodnie zajścia, które zaraz opowiem.

Oprócz zwykłych, po kilkakroć już od nas w ciągu niniejszej pracy wzmiankowanych zajęć w Oratoryum, pełnił nadto X. Bosko dobrowolnie obowiązki duszpasterskie po więzieniach, w szpitalach X. kanonika Cottolengo i w *schronisku* markizy Barolo; mało więc, jak widzimy, zbywało mu wolnego czasu. Te właśnie bezustanne zajęcia codzienne były przyczyną, iż układając książki, które mu były do wykładów potrzebne, a o jakich wyżej była mowa, zmuszony był opracowywać je nocami, co dla jego zdrowia fatalne za sobą musiało pociągnąć skutki. Jakoż po kilku tygodniach wytężonej pracy i takiego sposobu życia, pogorszyło się jego już i tak nadwątlone zdrowie do tego stopnia, że lekarze stanowczo radzili mu zaprzestać wszelkiej umysłowej pracy, jeżeli nie chce przyprawić się o niechybną śmierć w kwiecie wieku. X. Dr. Borel, który go miłował jak brata, widząc księdza Bosko w niebezpieczeństwie życia, wysłał go na pewien czas na świeże powietrze do X. Dr. Piotra Abbondioli, proboszcza w Sassi, wiosce, położonej na ustroniu u podnóża *Sopergi*. Tu X. Bosko pozostawał w dni powszednie, co sobotę jednak po południu wracał do Turynu, by niedzielę spędzić w Oratoryum ze swymi chłopcami.

Pomimo czułej i troskliwej opieki, jaką go otaczał poczciwy pleban, jak również mimo zdrowego położenia samejże wioski, pobyt w Sassi nie przyniósł księdzu Bosko upragnionego polepszenia zdrowia. Jedną z głównych przyczyn była bliskość Turynu, zaczem poszło, iż chłopcy z Oratoryum często go przychodzili nawiedzać, a gdy się do nich niezadługo przyłączyła jeszcze młodzież z Sassi, dawali mu społem niemało do czynienia.

Lecz nietylko chłopcy z Oratoryum raz po raz wybiegali do Sassi; czynili to również wychowankowie *Braci szkół chrześcijańskich*, którzy razu pewnego w podwójny wprawili go kłopot.

Stało się to w następujący sposób.

Pod światłym zarządem rzeczonych *Braci* zostawały między innemi szkoły miejskie Turynu, imienia św. Barbary, do których uczęszczało kilka set dziatwy i młodzieży. X. Bosko, przed swoją chorobą, udawał się co tydzień chłopców tych spowiadać w kaplicy, w pobliżu gmachu szkolnego położonej, niektórzy wszakże z nich przychodzili do niego na spowiedź do Oratoryum, wogóle zaś niemal wszyscy byli jego penitentami. Otóż pod koniec wiosny tego roku odprawiali uczniowie *szkół chrześcijańskich* ćwiczenia duchowne. Przez cały czas rekolekcyi czekali na X. Bosko, w nadziei, że, jak zwykle, przyjdzie ich wyspowiadać, żadnemu więc z nich nie przyszło na myśl, spowiadać się u innego kapłana.

Tymczasem nadszedł dzień, w którym *ćwiczenia duchowne* miały się zakończyć, chłopcy więc, nie widząc księdza Bosko w kolegium, udali się za pozwoleniem swoich nauczycieli na Valdocco, aby go tam poszukać. Nie znalazłszy go zaś w pomieszkaniu i dowiedziawszy się, że bawi w gościnie w Sassi, mało myśląc, puścili się w tamtą stronę całą gromadą; jedni z nich sądzili, że Sassi jest to jakiś *dom wiejski* (czyli t. z. *villa*), inni znowu byli mniemania, że nazwa ta odnosi się do miejscowości, tuż pod Turynem leżącej. Niebożęta! Nie wiedzieli, że idąc tam i napowrót, trzeba im będzie przebiedz kilka ki-

lometrów drogi. Skoro się spostrzegli, że wypadło im wyjść z obrębu miasta i przejść na drugą stronę rzeki *Po*, powinni byli, co prawda, odstąpić od powziętego zamiaru i wrócić do kolegium: lecz rozwaga i zastanowienie nie zwykły się (jak wiadomo) zaliczać do rzędu zalet wieku młodocianego, chłopcy więc owi, kierując się jedynie popędem serca, a w tyle z nich idący naśladując przykład kroczących na czele, szli, podzieliwszy się na gromadki, nieustraszenie naprzód, pytając, kogo tylko spotkali, o S a s s i.

Pora zaś była dżdżystą, zaczem, uszedłszy już spory kawał drogi, a będąc nieświadomi okolicy, zabłądzili i szukając na ślepo S a s s i i księdza BOSKO, szli na przełaj łąk, poprzez pola i winnice.

Ludzie, których tu i owdzie spotykali, pytali ich:

—„Dokąd idziecie? Kogo wy szukacie?"

—„Idziemy do S a s s i i szukamy księdza BOSKO. Daleko jeszcze do S a s s i? Nie wiecie, czy jest tam X. BOSKO?"

—„Zmyliliście drogę," odpowiadali na to wieśniacy. „Musicie się stąd wrócić aż do bitej drogi, potem skręcicie, ot tam, na prawo, pójdziecie kawałek pod górę i będziecie w S a s s i. Ktoby jednak był X. BOSKO i gdzie się znajduje, tego my nie wiemy. Proboszcz z S a s s i nie nazywa się D o n B o s c o i w całej okolicy niema ani jednego księdza, któryby nosił takie miano."

—„A jednak," odpowiadali chłopcy, „mówiono nam, że X. BOSKO przebywa w S a s s i i musi tam być napewno."

Ci z nich, którzy zostawszy nieco w tyle, nadciągali dopiero w czasie tej rozmowy, nie wiedząc, jakie wyjaśnienia od wieśniaków otrzymali już byli ich przewodnicy, biorąc *qui pro quo* (jednę miejscowość za drugą), pytali:

—„Gdzie leży S à s s a r i?"

Słysząc to owi ludzie, odpowiadali ze śmiechem:

—„S a s s a r i leży na wyspie S a r d y n i i i ażeby się tam dostać, trzeba wpierw wsiąść na okręt."

Odpowiedź ta niezmiernie strapiła zabłąkanych biedaków.

Wreszcie wydostawszy się na właściwą drogę, przyczem jedna gromada zachodziła z tej, druga z owej strony, ostatecznie na dziedziniec przed plebanią w S a s s i wpadło a jakie trzysta chłopców, spoconych, zziajanych, obryzganych szlamem i błotem, a z głodu i utrudzenia tak osłabionych, że aż wzbudzali litość.

Wywołany z plebanii X. BOSKO, na widok takiej rzeszy swych małych przyjaciół, wzruszył się do głębi.

—„Czegoż wy tu chcecie, moi kochani chłopcy i pocoście przyśli? Czy macie pozwolenie od waszych nauczycieli na tę wycieczkę?"

Jeden z nich, zabrawszy głos w imieniu wszystkich, odpowiedział:

—„W ostatnich dniach odbywaliśmy *ćwiczenia duchowne*. Dzisiaj właśnie, i to jeszcze przed południem, mają się ukończyć, my zaś chcemy się wyspowiadać tylko u księdza Dobrodzieja. Wczoraj wieczorem nadaremnie oczekiwaliśmy Go u ś w. B a r b a r y, a nie widząc Księdza w kaplicy również dziś rano, poszliśmy, za pozwoleniem naszych nauczycieli, szukać Go na V a l d o c c o, stamtąd zaś, jedni ciągnąc za drugimi, przyszliśmy oto całą gromadą tutaj.

Nie powiedzieliśmy nic zgoła naszym Przełożonym, myśleliśmy bowiem, że wrócimy jeszcze na czas, na Mszę św. do kolegium i że będziemy mogli przystąpić do Komunii św. Wielu z nas życzy sobie odprawić spowiedź jeneralną, bardzo wielu zaś pragnie odbyć spowiedź od ostatnich rekolekcyi, czyli z całego roku."

Można sobie łatwo wyobrazić zakłopotanie księdza BOSKO i jego zacnego gospodarza, gdy usłyszeli te wynurzenia. Nie mogli wprawdzie nie podziwiać zapału i gorliwości młodzieży, z tem wszystkiem jednakże w niemałym znaleźli się ambarasie. Co mieli począć i jak się uporać z taką masą chłopców, którzy do tego chcieli odprawić spowiedź jeneralną, lub co najmniej całoroczną? Czy kazać im natychmiast wrócić do kolegium, by w ten sposób przynajmniej uspokoić nauczycieli, niezawodnie stroskanych z przyczyny tak długiej nieobecności swoich uczniów? Tem więcej, że nawet dwunastu kapłanów nie byłoby wystarczyło, by takie mnóstwo wyspowiadać, oni zaś chcieli wszyscy odbyć spowiedź u jednego!

Nie trudno przyszło przekonać chłopców, że było istnem niepodobieństwem zadość uczynić ich życzeniu jeszcze tego przedpołudnia i że koniecznie należało odłożyć przyjęcie Komunii św. do dnia następnego. Zaczem X. BOSKO, lubo całkiem prawie wyczerpany na siłach, zasiadł do konfesyonału. Razem z nim słuchali spowiedzi X. Proboszcz, wikary i ówczesny nauczyciel miejscowy (również kapłan), nie wyszedłszy z kościoła aż o godzinie 1[ej] po południu, a jednak nie zdoławszy wszystkich, łaknących spowiedzi penitentów, przypuścić do Sakramentu św. Pokuty.

Nie tu wszakże koniec kłopotu. Poczciwi chłopcy, opuszczając T u r y n, zrobili, jak owe

*

tłumy, co szły za Chrystusem na puszczę: zajęci jedynie myślą o księdzu Bosko i spowiedzi, wyszli z miasta, nie zabrawszy ze sobą ani jednej nawet bułki, tem bardziej, ponieważ byli pewni, że na śniadanie będą w domu. Stąd trzeba było teraz w Sassi nietylko zaspokoić potrzeby duchowne chłopców, lecz — uciszyć zarazem ich żołądek, gwałtownie dopominający się o swoje prawa, — słowem, zaspokoić ich głód, który na południe niewiele się różnił od wilczego, zwłaszcza że znakomicie był zaostrzony poranną, pełną przygód, zupełnie na czczo odbytą wycieczką. Nie mogąc zdziałać cudu pomnożenia chleba, nie zostawił przeto księdza Bosko poczciwy X. Proboszcz w niepokoju: cud zastąpił swoją gościnnością. Dobył, co tylko miał w śpiżarni: chleb, *polentę* (mamałygę), bób, ryż, ziemniaki, owoce, ser, — słowem, wszystkie swoje zapasy żywności zastawił zgłodniałym gościom, kiedy zaś nie wystarczyło to, co posiadał w domu, pożyczył od sąsiadów. W ten sposób cały pułk młodzieńczy posilił się niezgorzej, a gdy chłopcy pod wieczór wracali do Turynu, żaden z nich w drodze nie omdlał.

Jeżeli jednakże X. Bosko i jego zacny gospodarz, tego dnia, zaskoczeni tak niespodziewaną wizytą, w niemałym znajdowali się kłopocie, to o wiele większy był niepokój i troska *Braci szkół chrześcijańskich*, kaznodziejów, którzy prawili nauki rekolekcyjne, jak niemniej różnych zaproszonych osób; o oznaczonej bowiem godzinie, na 400 z górą wychowanków, odprawiających *ćwiczenia duchowne*, stawiło się na Mszę św. i Komunią jeneralną zaledwie kilkudziesięciu; wszyscy inni byli albo w Sassi, albo się rozbiegli.

Powyższe zatem zdarzenie może służyć za dowód, jak bardzo X. Bosko był od młodzieży, która go bliżej poznała, kochanym, ale zarazem, jak mało pobyt w Sassi się dla niego nadawał, celem znalezienia potrzebnego wytchnienia, i jak w nieznacznej tylko mierze mógł się przyczynić do polepszenia nadwątlonego jego zdrowia.

W czerwcu tegoż samego roku (1846) mieli chłopcy z Oratoryum sposobność okazać, jak szczere i głębokie uczucia czci i przywiązania synowskiego żywili dla widomej Głowy Kościoła Jezusa Chrystusa. W pierwszych dniach rzeczonego miesiąca rozszerzyła się po Turynie smutna wieść, potwierdzona niebawem żałobnym odgłosem dzwonów, wywołująca smętne echo w sercu każdego wiernego syna Kościoła: oto w Rzymie umarł Ojciec św., Grzegorz XVI. Następującej niedzieli X. Bosko, mówiąc do chłopców o zmarłym Papieżu, podniósł jego nieustraszone męstwo i uwydatnił niepowetowaną stratę, jaką w jego osobie poniósł Kościół w owych zwłaszcza, tyle burzliwych czasach. Przy tej sposobności wspomniał między innemi o dowodzie szczególniejszej jego dla nich łaskawości, jaką był okazał roku zeszłego, kiedy na zwykłą, od nikogo nie popartą, prośbę księdza Bosko, wystosowaną na piśmie, ś. p. Papież udzielił odpustu zupełnego, mającego się dostąpić w godzinę śmierci, dla 50 osób, które zdaniem samegoż księdza Bosko okażą się najgorliwszemi i najwięcej położą zasług około duchownego i doczesnego dobra młodzieży. W gorącej wreszcie przemowie wezwał ich, by wspólnie z nim odmówili koronkę za spokój jego duszy, — co też oni z największą gotowością i całem sercem uczynili.

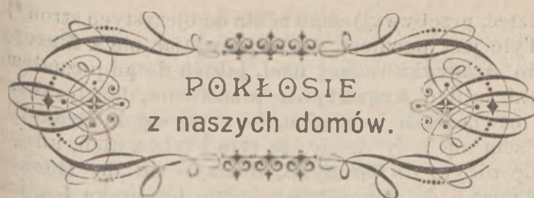
Po tym hołdzie wdzięczności dla zmarłego Ojca św., podjął X. Bosko na nowo przerwaną naukę i wykazał, iż ponieważ Kościół nie może zostać bez Głowy widzialnej, która z woli Chrystusa ma nim rządzić — tak samo jak trzoda nie może istnieć bez pasterza, — zatem danym mu będzie inny Papież; zachęcił przeto swych wychowanków, by gorąco modlili się do Ducha św., ażeby tenże oświecił i pokierował kardynałami przy wyborze nowego Papieża.

Również to wezwanie znalazło wdzięczne echo w sercach młodzieży.

Jakoż dnia 16go czerwca 1846 r. wybrany został Papieżem kardynał Jan Mastai-Ferretti, Biskup Imoli, który przybrał imię Piusa IX. Także skromne mury nowej kapliczki św. Franciszka Salezego zabrzmiały wkrótce hymnem dziękczynnym, za to że Pan Bóg w tak krótkim czasie dał innego Ojca wszystkim wiernym chrześcijanom. Nowy Papież oddawna był już znanym z niezwykłych zalet serca i umysłu; wybór więc jego przyjęto z niewymowną radością nietylko w Rzymie, lecz w całym świecie katolickim. Objawy te uniesienia i z tego powodu urządzane zebrania publiczne i uroczystości były tak entuzyastyczne, trwały tak długo, pochwały, oddawane nowowybranej Głowie Kościoła, były tak wielkie, że może żaden Papież nie miał im równych. Dobrzy chrześcijanie cieszyli się, urządzali owe uroczystości i wynosili Ojca św. z niekłamanej miłości i żywej, gorącej wiary; sekciarze i zwolennicy tajnych stowarzyszeń przez obłudę, jak to niezadługo miało się okazać.

Zadaniem jednakże mojem nie jest, pisać na ten temat więcej.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).



I.

Bahia Blanca (rzeczp. argentyńska, Ameryka połud.), styczeń 1898.

Czcigodny Księże Dobrodzieju,

Pod wrażeniem co dopiero posłyszanych, nowych jęków naszych nieszczęśliwych rodaków, przybyłych niedawno temu do **Argentyny**, kreślę niniejszych słów kilka.

„*Quousque tandem* .....?" wołam, prawie już rozgoryczony, dopókiż nareszcie nie przestaniecie sami szukać własnej zguby, kiedyż wreszcie zaniechacie puszczać się w obce strony, na los tak zwanego szczęścia, które niczem innem nie jest, jak marną ułudą, nędzą i zaślepieniem, tem straszniejszem, że z własnej zwykle pochodzącem winy? Nie brak bowiem było tysiącznych przykładów zmarnowanego życia i tego dobytku, jaki się w kraju ojczystym posiadało, — dosyć chyba już było ofiar złudnych nadziei, zawiele doprawdy bolesnego zawodu, jaki spotkał niesłychaną ilość nieopatrznych **Europejczyków**, zwabionych ślepą żądzą łatwego zbogacenia się na argentyńskie pustkowia.

Przybyło w ostatnim czasie do **Buenos Ayres** (stolicy rzeczypospolitej argentyńskiej) liczne grono polskich rodzin. Stosownie do tutejszych przepisów immigracyjnych, powierzono je zaraz osobnej komisyi rządowej, mającej za zadanie, starać się o pracę dla przybyszów. Mówię wyraźnie: **starać sie o pracę**, nie zaś: wyszukiwać im jaką posiadłość ziemską, — o której zazwyczaj marzą, polscy zwłaszcza, wychodźcy, — w **Argentynie** bowiem tylko za gotówkę, i to za dosyć wygórowaną cenę, dostać można ziemi w miejscowościach, niezbyt od siedzib ludzkich oddalonych.

Jakoż, dla kilku rodzin polskich znaleziono niebawem pracę u pewnego właściciela ziemskiego, w prowincyi **Mendoza**, reszty jednakże wychodźców ani nawet za marną strawę nigdzie przyjąć nie chciano, szczególnie z tego powodu, iż nie można się było z nimi wcale porozumieć.

Do pewnego stopnia jestto rzecz łatwa do zrozumienia. Ludzi jest tu dosyć. W **Argentynie** nie brak zwinnych **gauchos** (czyt. *gauczos* = pastuchów) do opiekowania się trzodą, ani gładkich i dosyć wprawnych Włochów do uprawy ziemi; dla naszych więc, jak na razie — dla braku jakiejkolwiek organizacyi polskiej, któraby sprawę immigracyi do rzeczypospolitej argentyńskiej ujęła w swe ręce — przybywanie, bądź osobno, bądź gromadnie, w tutejsze strony jest poprostu zgubnem, gdyż odpowiedniego zatrudnienia dla nich tutaj niema.

Prawdę tę uznają wszyscy, uznał ją (jak się o tem dowiedziałem od p. **Alsina** w **Buenos Ayres**) między innymi p. **St. Kłobukowski**, wyborny znawca tutejszych stosunków, który wręcz oświadczył, że **Argentyna** bynajmniej się nie nadaje do osiedlania się dla polskiego ludu. Jeżeli już koniecznie trzeba opuszczać ojczysty kraj, to najlepiej udać się do **Brazylii**, do stanu **Paraná**, gdzie osady polskie w przeważnej części są już zorganizowane i gdzie takich nie brak, co, ile mogą, troszczą się o polskich przybyszów, podczas gdy w **Argentynie**, mimo dwóch „towarzystw" polskich w **Buenos Ayres** (co prawda, tylko z nazwy istniejących), niemasz, ktoby się nimi mógł i umiał zająć.

Dowodzi tego dalszy ciąg smutnej Odyssei ziomków naszych, o których mowa.

Zaledwie upłynęło kilkanaście dni od czasu wysłania rodzin polskich do prowincyi **Mendoza** doniósł mi dyrektor komisyi pomocniczej *głównego biúra immigracyjnego*, p. **E. Canelos**, że biedacy nasi byli zmuszeni opuścić swego (jak się zdaje) niesumiennego chlebodawcę. Oddalony o blisko 1000 tutejszych mil od **Buenos Ayres** i wskutek wziętych na siebie obowiązków przywiązany do miejsca, nie mogąc osobiście, jakbym tego z całej duszy pragnął, opiekować się swoimi rodakami, mogłem pana **Canelos** tylko listownie prosić, ażeby się owymi **Polakami** zajął, życzeń ich wysłuchał i jeżeli już nie może wysłać ich do **Brazylii**, to przynajmniej o jakie dla nich zatrudnienie się wystarał.

Przyrzekł to uczynić, a po znanej jego zacności spodziewać się można, że danego słowa dotrzyma.

Tyle o rodzinach polskich, wysłanych do prowincyi **Mendoza**.

Lecz co się stało z pozostałemi, z ową resztą, dla której nie można było, czy też nie chciano, albo nie umiano znaleść zatrudnienia?

Dreszcz przejmuje na samo wspomnienie o ich losie, o którym (już jako o fakcie dokonanym) dowiedziałem się z dzienników argentyńskich.

Użyto względem nich barbarzyńskiej ostateczności: wsadzono emigrantów na mały parowiec, wywieziono het na południe i wysadzono na ląd w prowincyi **Chubut** (czyt. *Czubut*) w **Patagonii**. Napróżno tamtejszy gubernator przedstawiał, komu należało, iż jest rzeczą zgoła niemożliwą, ażeby ci ludzie, pozostawieni sobie samym, mogli się wyżywić na tej puszczy: — stało się zadość pierwszemu rozporządzeniu i pozostawiono biednych naszych wychodźców na strasznem pustkowiu, nie zaopatrzywszy ich w **nic** i zdawszy ich na opiekę Opatrzności.

Czyżby panowie z *głównego biúra immigracyjnego* w **Buenos Ayres** byli przypadkiem zwolennikami mrzonek filozofów francuskich, szkoły **J. J. Rousseau**, i chcieli na naszych wychodźcach (zatem w ich przekonaniu *in anima vili*) wypróbować tyle przez tamtych zachwalanego środka doprowadzenia człowieka do „stanu natury?" Twierdzili owi filozofowie, iż wystarczy człowiekowi odjąć wszelkie środki utrzymania, a sam instynkt

zachowawczy zmusi go do żywienia się korzonkami i owocem leśnym. Oby się tylko w oczekiwaniach swoich nie zawiedli, jak czasu swego nasz **Staszyc** (o czem pisze **K. Koźmian** w swoich *Pamiętnikach*), który ślepo wierząc w nieomylność francuskiego mistrza, zebrał był u siebie kilku chłopców, zamknął ich przez dobę (czy nawet więcej) w pokoju, przez cały ten czas wygłodził należycie, a następnie wywiózł do lasu, pewnym będąc, że chłopcy rzucą się na ziemię, zaczną szukać korzonków i t. p., czyli że „wrócą na łono natury.“ Chłopcy, głodem osłabieni, rzucili się istotnie na ziemię, ale po to tylko, ażeby jęczeć i o chleb wołać, — taki był ów stan natury, w jaki ich wprowadził nieoceniony **Staszyc**, który koniec końcem musiał osobiście dołożyć starania, aby chłopców utulić i głód ich zaspokoić.

W jakikolwiek sposób chcielibyśmy sobie wytłomaczyć krok *biora immigracyjnego* w **Buenos Ayres** względem naszych wychodźców, ostatecznie każdy, bezstronnie się na tę sprawę zapatrujący, przyznać musi, że podobne tegoż postępowanie z ludźmi, nieznającymi nietylko krajowego języka, ale ani zwyczajów, sposobu utrzymania się tuziemców, tem mniej klimatu kraju, w którym przyszło im się osiedlić, pozbawionych i środków zarobku i środków do życia, — jest co najmniej igraniem z życiem ludzkiem. Biedni nasi emigranci! Zostali zupełnie odcięci od świata cywilizowanego, skazani na śmierć głodową. Czy danem im będzie, wyjść z tej pustyni, a przynajmniej uwiadomić kogoś o swym losie, o miejscu, gdzie ich szukać należy, wpierw, nim wyginą od głodu i słoty? . . . .

Co najdziwniejsza, to że gubernator prowincyi **Chubut** ostro był krytykowany za swoje postępowanie (tj. wzbranianie wylądowania na swem terytoryum naszym wychodźcom) przez dzienniki tutejsze, że „*tamuje postęp cywilizowania i zaludnienia bogatych i żyznych* (według ich zdania) *okolic rzeczypospolitej*“ i t. p. Bodajby ci panowie dziennikarze, zamiast rozprawiać teoretycznie o kolonizacyi, widzieli choć raz w życiu pustynię, a wtedy zapewne bez wahania podzielaliby zdanie rządcy prowincyi **Chubut.** Lepiejby było, gdyby przed kilku laty jeszcze, byli się starali powstrzymać zapęd barbarzyńskiego dzieła, tj. zdobywanie ogniem i mieczem (nieraz i *trucizną*) na **Indyanach** tych puszcz, które w stosunkowo krótkim czasie, za sprawą m i s y o n a r z y, byłyby zakwitły względnym dobrobytem, mając ludność tuziemczą i licznie rozsiadłą, przerobioną na spokojnych i pożytecznych obywateli państwa.

Ludność ta, nawrócona na chrześcijaństwo i z dzikich, mordem dyszących, przemieniona w baranków, umiałaby lepiej zastosować cnotę miłości bliźniego względem nieszczęśliwych, przemocą w te strony wywiezionych wychodźców p o l s k i c h, aniżeli bezwzględni, bez serca, a r g e n t y ń s c y, rządowi cywilizatorowie . . . . .

Tu warto jednakże stawić sobie pytanie: istniejeli w naszym kraju prąd emigracyjny do **Argentyny**? Trudno mi o tem coś stanowczego powiedzieć, przebywającemu zdala od ojczystych stron *). Tyle jest pewnem, że wyprawiając się z **Europy** do **Ameryki** rodacy nasi, jakich dotąd poznałem, ani śnili o **Argentynie,** przeciwnie, dążyli zawsze i oświadczali to głośno, że udają się do **Brazylii.** Czem się tedy dzieje, że tylu i tylu z nich, udając się nibyto do **Brazylii,** dostaje się do **Buenos Ayres** i do **Argentyny,** gdzie ich czeka los, jak o tem mowa wyżej?

Zdaje mi się, że się nie mylę, twierdząc, że dzieje się to *podstępem.*

Jest to poprostu wina *agentów.*

O niektórych bowiem emigrantach naszych wiem z pewnością, że kiedy ich sprytny, a niesumienny *agent* namawiał do wyjazdu z kraju, powiadał im, że pojadą do „**Brazylii argentyńskiej,** *gdzie daleko lepiej, aniżeli w* **Brazylii.**“ Otoż takich agentów, uciekających się do podobnych szalbierstw i wyzyskujących ciemnotę i łatwowierność naszego ludu po to, aby dostarczyć rządowi argentyńskiemu osadników na zaludnienie „**Syberyi**“ patagońskiej, może być więcej.

Oby w naszym kraju, gdzie o podobnych podstępach, o istnym handlu białymi niewolnikami, jaki się odbywa pokryjomu za pośrednictwem niegodziwych *agentów,* zamało, niestety, i mówi się i pisze, zechciano więcej zwracać uwagi na pokątnych doradzców i pociągać ich do odpowiedzialności!

Będąc oddalony od stolicy rzeczypospolitej, a zarazem głównej przystani, dokąd zawijają statki z europejskimi emigrantami, bardzo mało, niestety, chwilowo mogę czynić dla naszych wychodźców. A jednak zająć się nimi trzeba. Trzeba również wpłynąć na zmianę zapatrywań p. **Alsina,** generalnego komisarza rządowego, który na wniosek, jaki do *Biora immigracyjnego* wystosowałem,

---

*) Dr. Stanisław Kłobukowski, w nr. 2 „*Gazety handlowo-geograficznej,*“ r. b., wychodzącej we L w o w i e, w artykule „*Agitacya za Argentyną,*“ pisze: „Jest w pełnym toku wielka agitacya za A r g e n t y n ą. Przedsiębiorcy włoscy i niemieccy, a szczególnie pierwsi, zapewnili sobie pewne korzyści w A r g e n t y n i e za przewożenie emigrantów europejskich nad rzekę *La Plata.* Dotąd jednak nie są wiadome dokładnie owe warunki osiedleńcze argentyńskie. Nikt bowiem nie wie, w jakiej części A r g e n t y n y, państwa wielkiego jak cała E u r o p a bez R o s y i, zamierzają osiedlać wychodźców europejskich. Zdaje się, że w południowej części prowincyi B u e n o s A y r e s. Tak mi przynajmniej mówił p. Alsina, naczelnik biura kolonizacyjnego w B u e n o s A y r e s początkiem 1897 r. Dodał on, że te okolice uważałby za odpowiednie dla naszych ludzi. Gdym wyraził pod tym względem powątpiewanie, bynajmniej nie nalegał, a nawet powiedział: „Tyle jest przybyszów *włoskich,* że na razie pewnie nie należy się spieszyć z osiedleniem *Polaków.*“

Artykuł ten kończy słowami: „Nie chodzi tu wcale o zbijanie naukowych poglądów pp. Nodarego i Oleskowa, ale raczej o zwrócenie uwagi na to, że jest w powietrzu z kolei gorączka emigracyjna *argentyńska.* Są usiłowania, aby ją wywołać. Może dobrzeby było zawczasu stanąć w pogotowiu wobec nowej zachcianki rozpraszania kości naszych po kuli ziemskiej.“

aby gromadzić i skupiać żywioł polski, zaczynający przybywać do **Argentyny**, na jakimś danym punkcie obszarów rzeczypospolitej, wręcz odmowną dał mi odpowiedź. Z otwartością przedziwną oświadczył, co następuje:

„*Skupieni w jednem miejscu obcy przybysze nie tak łatwo przyjmują tutejsze obyczaje, słowem, trudno byłoby przerobić ich na* **Argentyńczyków**, *rozproszeni zaś łatwiej porzucają mowę ojczystą i zwyczaje kraju, z którego pochodzą, i jeżeli już nie oni sami, to w każdym razie ich synowie staną się z pewnością wiernymi* **hijos del pais** (= synami kraju, czyli **Argentyny**).“

Licząc na przyjazne stosunki, jakie mam z dyrektorem *banku kolonizacyjnego* w stolicy, p. Alojzym **d'Abreu**, fundatorem i dobrodziejem kościoła i kolegium, pod nazwą *Nuestra Señora de la Piedad* (= Matki Boskiej Bolesnej), gdzie właśnie się znajduję, myślę, że w porozumieniu z nim udałoby mi się dla naszych wychodźców coś zrobić, a przynajmniej osłabić wpływ i nieco szowinistyczne poglądy p. **Alsina** . . . . .

Jakkolwiekbądź się jeszcze rzeczy ułożą, życzeniem mojem byłoby, ażeby echo powyższych moich wywodów, stojących w rażącem przeciwieństwie do marzeń niejednego nierozważnego Polaka-wychodźcy, dotarło do tych strzech polskich, co tulą w sobie ludzi, noszących się z myślą porzucenia, bez głębszego namysłu i bez środków pieniężnych, rodzinnego gniazda i odjęło im raz na zawsze chęć skosztowania amerykańskich rozkoszy. Do **Ameryki** bowiem również sięgła klątwa Boża, rzucona na pierwszego naszego rodzica w raju: „*w pocie czoła pracować będziesz!*“ Tu w **Ameryce** taksamo, jak w **Europie**, jak na powierzchni całej kuli ziemskiej, trzeba w ciężkiej pracy i znoju starać się o kawałek chleba. Oby się tu na nich — nie wiedzieć już po raz który — nie sprawdziło przysłowie: *mądry Polak po szkodzie*. Bądźmyż nareszcie raz mądrymi p r z e d szkodą. Płacze bowiem i narzekania, gdy się z własnej winy nieszczęście na siebie i na bliskich swoich ściągnęło, są już po niewczasie, a skargi i obwiniania tego lub owego, także na nic się już nie zdadzą. Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi.

W połowie października wyprawiłem stąd do **Galicyi** Michała **Misztla** z poleceniem, by z **Genui** wstąpił do **Turynu** odwiedzić i pozdrowić księdza Dobrodzieja.

W tych dniach nawiedziła nas tutaj straszna plaga — już nie powiem: *egipska*, ale *patagońska* —: naleciały oto ze stepu chmury szarańczy, przed którą, jak wiadomo, nietylko liście, ale nawet kora na drzewie się nie ostoi. Corocznie prawie Rzeczpospolita **argentyńska** nawiedzaną bywa przez ten straszny owad, tylko że w jednym roku szarańcza zagnieżdża się w północnych prowincyach, drugiego zaś we wschodnich i t. d. W tak ogromnej ilości, jak obecnie, tylko przed trzema laty można ją było tutaj spotkać. Plaga ta jest straszna klęską dla rolnictwa w ogólności i rok w rok setki tutejszych kolonistów doprowadza do kija żebraczego.

X. Stanisław Cynalewski.

II.

B e r n a l (pod B u e n o s A y r e s, rzeczposp. argentyńska), grudzień 1897 r.

WIELEBNY KSIĘŻE REDAKTORZE,

ODJEŻDŻAJĄC z **Turynu** przyobiecaliśmy X. Dobrodziejowi opisać podróż misyonarzy salezyańskich z *pierwszej* wysyłki, lecz ponieważ wszyscy moi towarzysze mniej lub więcej ulegli chorobie morskiej w ciągu drogi, nic dziwnego zatem, że większą częścią nie byli usposobieni zapisywać, co ważniejszego zaszło każdego dnia i że wskutek tego na mnie, który jedyny chorobie tej zdołałem się oprzeć, spadł obowiązek dotrzymania danego słowa. Bez długiego wstępu rozpoczynam więc krótki opis naszej podróży.

Po skończeniu ceremonii pobłogosławienia i pożegnania misyonarzy u stóp cudownego obrazu **Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych**, w **Turynie**, ceremonii, którą tak ślicznie był opisał X. Stanisław **Cynalewski** w swoim „*Miesiącu podróży*,“ sunęliśmy parami przez nawę kościoła, kierując się ku wielkim drzwiom. Kościół pełny był wiernych, a wszyscy głośno żegnali nas i życzyli szczęśliwej drogi. Kiedyśmy wyszli na plac przed kościołem *Maria SS. Ausiliatrice*, nic innego nie było słychać, tylko wołania: „*buon viaggio! Pregate per noi, cari missionarii!* Szczęśliwej podróży! Módlcie się za nami, mili misyonarze! Niech Wam Matka Boska **Wspomożycielka** i X. **Bosko** towarzyszą wszędzie!“ Inni znów podchodzili do kolas, które nas miały zawieźć na dworzec kolei żelaznej, i podawali nam ręce, aby jeszcze raz uścisnąć dłoń synów księdza **Bosko**. O ludu polski, o wy, G ó r n o ś l ą z a c y, którzy tak walecznie stawacie w obronie wiary katolickiej i języka polskiego, gdybyście tutaj na tym obrzędzie naszego odjazdu byli obecni, z pewnością serca Wasze wezbrałyby radością, widząc po raz pierwszy **dziesięciu** Waszych rodaków, krew z krwi i kość z kości Waszej, puszczających się do dzikich i półdzikich krajów, celem dopomagania łasce Bożej do zbawienia dusz ludzkich! Niezmierne-bo pole pracy otwiera się dla nas i przed nami w **Ameryce** południowej, ale też potrzebujemy wielu **polskich**, i to r z e c z y w i s t y c h pracowników, którzyby się z całego serca poświęcali m i s y o m.

Bieżącego roku 1897go przygotowano w **Turynie** trzy wyprawy salezyańskie na świat daleki: jedna do rzeczypospolitej **argentyńskiej**; druga do **Brazylii**; trzecia do **Ameryki** środkowej.

1go listopada odjeżdżała wyprawa do **Argentyny i Ziemi Ognistej**; 4go listopada do **Venezueli** i **Ameryki** środkowej; 10go zaś do **Brazylii**. Największa z tych trzech wypraw była **argentyńska**, składała się bowiem z 36 misyonarzy, między którymi 12 **Sióstr Najśw. Maryi Panny**.

**

Wspomożenia Wiernych. Kierownikiem jej był X. **Palliero,** pierwszy rodowity **Amerykanin,** który został dyrektorem salezyańskim, człowiek nadzwyczaj świątobliwy i roztropny.

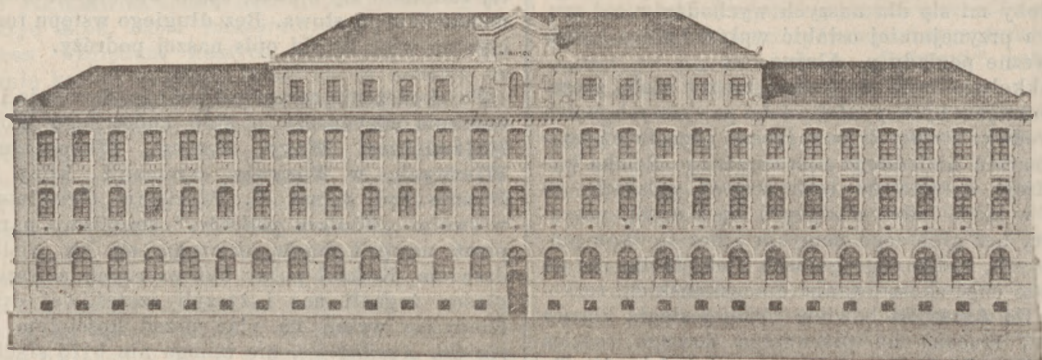
Wyjechaliśmy z **Turynu** wieczorem o godzinie 7ej i przybyliśmy do **San Pier d'Arena** o 11 1/2, gdzie z wielką nas przyjęto radością. Tutaj przepędziliśmy resztę nocy i połowę następnego dnia. 2go listopada o godzinie 3ej po południu wsiedliśmy na okręt.

Statek, którym mamy płynąć, nazywa się *Sirio*. Jest własnością dwóch towarzystw, tworzących jednę wielką Spółkę żeglarską, nazywającą się *Florio e Rubattino*. Spółka ta posiada 103 okręty: trzy z nich są do siebie całkiem podobne i noszą miana: *Sirio*, *Orione* i *Perseo*, zadaniem ich zaś wyłącznem jest odbywać podróż między **Genuą a Buenos Ayres** i odwrotnie.

munikacyi z maszynistą, którego miejsce jest zawsze na spodzie statku. Nad gabinetem stoi strażnik, którego obowiązkiem jest uważać na kierunek i posuwanie się okrętu. Po bokach wiszą różne łodzie, każda na 70 osób; w razie topienia się okrętu spuszczają je do morza, aby ludzi ratować.

Maszyna spali węgla na 24 godzin około 800 centnarów; statek upływa na godzinę 20 kilometrów. Pasażerów było na tym okręcie 1,061; oprócz nich wiezie jeszcze *Sirio* 113 robotników: 24 z tych ostatnich zajętych jest wkładaniem węgla do maszyny; idzie ich po 8 naraz do tego „*sierowania*" (jak mówią na **Górnym Śląsku**), tych znowu, którzy węgla donoszą, jest dwunastu. Cały okręt wygląda jak gdyby jaka wioska: krów, wołów, kur, owiec na rzeź, była masa.

Czas, w którym się posiłek przyjmuje na statku,



Zakład salezyański (*Talleres de Don Bosco*) **w Montevideo.**

Nasz *Sirio* jest długi 117 metrów, szeroki 8 m. (w miejscu, gdzie się znajduje 2a klasa), wysoki zaś 15 m. **Górnoślązacy** z okręgu przemysłowego niech sobie przedstawią (jeżeli ją znają) hutę z **Burowca,** a będą mieć wyobrażenie o wielkości tego okrętu. Ośm z tych piętnastu metrów wysokości statku pogrążonych jest we wodzie, reszta zaś (mniejsza połowa) sterczy nad powierzchnią morza. W dolnej części, a więc niejako pod wodą, mieszczą się kajuty 3ej klasy; my byliśmy w 2ej. Klasa ta znajduje się blisko przodu okrętu: miejsce, dość wygodne na przechadzanie się po pokładzie, w każdym razie tutaj stosunkowo mniej czuje się kolebanie okrętu. W 1szej klasie znów było różne państwo, lecz więcej tam ucierpieli z przyczyny kołysania się *Sirio* aniżeli my. Na środku okrętu wznosi się maszt, wysoki 25 metrów, na nim przytwierdzone są wpoprzek różne drągi, żagle pozwijane w wałek, tudzież drabiny, kręcone z powroza, po których marynarze, w razie jakiej potrzeby lub przypadku, muszą się piąć do góry. Na przodzie okrętu i w tylnej jego części umocowane są dwie kotwice, które spuszczają się do morza, ile razy statek zamierza w ciągu drogi się zatrzymać, lub kiedy wpłynie do przystani. Prawie sam środek zajmuje maszyna z dwoma kominami; tuż przy niej (na pokładzie) mieści się gabinet kapitana. Na przodzie okrętu znajduje się telefon, będący w ko-

jest inny, aniżeli był nasz zwykły dotychczasowy. O godzinie 7ej rano podają kawę, o 10ej drugie śniadanie (mięsne), o 5tej wieczorem zastawiają obiad; trzymają się tego porządku, ponieważ w owych godzinach marynarze i wszyscy robotnicy zmieniają się w swoich zajęciach.

W porcie genueńskim, jak wiadomo, obszernym i nader pięknym, stało na kotwicy w chwili naszego odjazdu 150 albo więcej okrętów z różnych krajów; największym z nich był niemiecki, *Bremen*, długi 136 metrów. Oznajmując wszem w obec i każdemu z osobna wyjazd swój z pr... i, uczynił to *Sirio* za pomocą przeciągłego, przeraźliwego gwizdnięcia, i to po trzy razy; mało brakowało, a byłby nas wszystkich ogłuszył. Gwizdanie to odbyło się w krótkich przerwach, co kwadrans. O godzinie 4 1/2 po południu wyruszyliśmy nareszcie z portu: wypływając tak szedł *Sirio* powoli, iż za trzy kwadranse zaledwie wypłynął poza „bramę" (jeśli się tak można wyrazić) genueńskiej przystani.

Na drugi dzień, o godzinie 4tej po południu, przybyliśmy do **Barcelony**, jednego z największych i najszerszych hiszpańskich portów. Zaraz obstąpili nasz okręt na łódkach różni hiszpańscy przekupnie i przekupki, podawając nam w koszyczkach na sprzedaż różne przekąski i owoce. Do miasta żaden z nas się nie udał, z jedynym wyjątkiem

X. Dyrektora **Palliero**, zaproszonego od X. Inspektora (prowincyała) naszych domów w **Hiszpanii**. Z pokładu *Sirio* przedstawiała się **Barcelona** jako piękne i chędogie miasto; nie daleko od brzegu, jednakowoż w przystani, wznosi się pomnik Krzysztofa **Kolumba**, śmiałego żeglarza, który pierwszy odkrył **Amerykę**.

Z przystani barcelońskiej wypłynęliśmy o godzinie 12ej w nocy, lecz na pokładzie mało było pasażerów, gdyż prawie wszyscy wtenczas spali. Morze zaczęło się wtedy na dobre burzyć; bałwany stawały się coraz większymi, więc także okręt zaczął się coraz bardziej kolebać. Po południu, o godzinie 1 ½, płynęliśmy mimo przylądka **Nao**. 4go listopada ujrzeliśmy szczyty **Sierra Nevada**, śniegiem pokryte. Tego samego dnia o 11 ½ przed południem wpłynęliśmy do cieśniny gibraltarskiej. Co za śliczne położenie! Z jednej strony widzi się góry afrykańskie, z drugiej hiszpańskie. O godzinie 12ej (4go) wypłynęliśmy na *Ocean Atlantycki*. Dotychczas X. Dyrektor w każdy dzień nam Mszę św. odprawiał, a myśmy do Komunii św. przystępowali; uczęszczali taksamo na Mszę św. panowie z 1ej klasy i komisarz okrętu (zarządca spiżarni i wogóle tego wszystkiego, co służyło do pożywienia i wygody pasażerów).

Jak dotąd, płynęliśmy dosyć spokojnie, bez nadmiernego kołysania się, jak po gładkiej tafli jeziora, lecz dnia 5go listopada, zaraz z rana, zaczął silny wiatr dąć od strony Afryki, wskutek czego nastąpiło coraz większe zaburzenie na spokojnej, przynajmniej dotychczas, powierzchni morza. Po południu, około godziny 4ej, zaczęła się burza na dobre: bałwany sięgały połowy okrętu, a my mieliśmy właśnie iść na obiad. Jak tu było można siedzieć przy stole, kiedy statek całym swoim korpusem chwiał się ustawicznie, to z przodu w tył, to znowu z lewego boku na prawy, a przytem każdy musiał dobrze uważać na własny talerz, by mu przypadkiem nie spadł na ziemię. Większa część pasażerów naszej klasy siedziała na ławach, przymocowanych do podłogi, tylko **Wolny** i ja siedzieliśmy na krzesłach, i tak jednego razu nie brakowało wiele, a bylibyśmy obaj kozła przewrócili. Niezadługo widząc, że zaczyna być ze wszystkimi krucho, wstaliśmy od stołu i wyszliśmy na pokład. Tam dopiero z przestrachem spostrzegliśmy, że w tym krótkim przeciągu czasu burza znacznie wzrosła: aż dreszcze nas przechodziły, patrząc na rzucanie i przewalanie się bałwanów. Jeżeli przed obiadem fale sięgały połowy statku, to teraz przedostawały się już na pokład, a majtkowie musieli co chwilę wypompować wodę. Na domiar złego, zaczęło grzmieć i błyskać się, deszcz, a niezadługo potem grad, począł siec, aż nareszcie musiał okręt stanąć, obawiano się bowiem na seryo jakiej katastrofy. Staliśmy tak na kotwicy wśród deszczu i nawałnicy przez całą noc. Co za męczarnia dla nas wszystkich, zmuszonych siedzieć przez cały ten czas w dusznych, gorących kajutach! W 3ej klasie ludzie krzyczeli, modlili się, to znowu rozpaczali, w 1szej znów klasie jeden z pasażerów, widząc. że morze coraz bardziej szaleje, dobył rewolwera i chciał sobie życie odebrać, mówiąc, że nie chce się dać żywcem pożreć *rekinom*. Co się nas tyczy, to byliśmy spokojni, gdyż całą naszą nadzieję położyliśmy w pomocy **Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki**. Wreszcie burza ustała, a tak mogliśmy znowu zażywać świeżego powietrza.

6go listopada płynęliśmy obok wysp **kanaryjskich**, 8go zaś wieczorem, o godzinie 8ej, zawinęliśmy do portu wyspy św. **Wincentego**, aby zaopatrzyć się w węgiel. Przed wstępem do przystani leży mała wyspa, na niej wznosi się latarnia morska. Zaraz obstąpiły nasz okręt różne łódki, pełne starych i młodych murzynów: jedni prosili o chleb, drudzy przyszli pomagać przy ładowaniu węgla. Mówili po portugalsku, lecz tak prędko, że trudno było wyraz jaki pochwycić.

Ich zwierzchnik był świetnie obleczony: miał stosowany kapelusz, złoty zegarek, długą szablę przy boku, lecz przy tem wszystkiem był kompletnie bosy. Raz mówił po angielsku, to znowu po portugalsku; jego podwładni byli tym razem już cokolwiek obleczeni: mówię „*cokolwiek*,“ ponieważ jeszcze trzy lata temu (jak nam opowiadali majtkowie), byli całkiem bez ubrania. Gdy ładowali węgle, to się już tyle nawrzeszczeli, co niemiara, a było ich blisko 30tu do tej roboty. Aby maszynista spuścił im łańcuch, wołali: *carrea! carrea!* Co za naród postrzelony! Jak im kto wrzuci pieniądz do morza, to się rzucają nań całą gromadą i nie wyjdą prędzej z wody, dopóki go nie znajdą. Przyglądając się tym ich sztuczkom, dziwiłem się, że się nie boją *rekinów*, których przecież pełno w podzwrotnikowych i podrównikowych morzach. Dowiedziałem się, że *rekiny* mają osobliwy gust: oto, o ile okazują się żarłocznymi i przepadają za białem, ludzkiem mięsem, o tyle czują wstręt do ciała czarnego (murzynów) i nie tykają go się.

Samej wyspy nie wiele było widać, w nocy bowiem nasz *Sirio* wpłynął do przystani i w nocy wypłynął na otwarte morze.

Straciwszy z oczu wyspę św. **Wincentego**, płynęliśmy statkiem 8 dni bez przestanku, nie widząc nic innego, tylko lite morze i niebo. Napotkaliśmy różne okręty: niemieckie, angielskie i jeden rosyjski, który wracał z **Chin**. Ile razy który z nich ukazał się na widnokręgu, to kapitan przyglądał mu się przez lunetę, a dowiedziawszy się, co on zacz, kazał wywieszać chorągiewkę, jako znak pozdrowienia. 12go listopada o godzinie 6 ½ rano przejechaliśmy równik. Na cześć tak rzadkiego wypadku dano suty obiad, a w 1ej klasie wyprawili sobie nawet bal wieczorem.

W dalszym ciągu podróży mieliśmy także sposobność widzieć wiele różnych ryb, tylko wieloryba, za którym wyglądaliśmy, nie było można nigdzie dojrzeć. Zato delfinów widywaliśmy co dzień. Nigdy nie pływają pojedyńczo, lecz zawsze trzymają się gromady; czasami naliczyć ich można *sto* i więcej. Są nadzwyczaj wesołe: odbywają pomiędzy sobą ustawiczne pląsy i wyskakują po nad wodę nieraz na cztery metry i dalej; w każdym

razie lepiej skaczą od włoskich żołnierzy, których niezgrabności nie mogliśmy się dosyć nadziwić w **Turynie**. Jakkolwiek pływają wartko, to jednak naszego *Sirio* nie potrafiły prześcignąć; zresztą wiadomą jest rzeczą, że dużo statków przegonią z największą łatwością.

Psy morskie również dosyć często napotykaliśmy; nie bardzo są wielkie, pysk mają szeroki i kudłaty, dwa ślepie błyszczące, dwie łapy na przedzie, które im służą do pływania.

Na tych morzach spotkać można inny jeszcze rodzaj ryb, t. z. *latających*. Unoszą się kilka, lub kilkanaście, metrów ponad powierzchnię morza, poczem na nowo zapadają w wodę. Pewnego wieczora, gdyśmy w kilku stali na pokładzie i śpiewali, spadła naraz obok nas jedna z tych ryb; chwyciłem ją, lecz biedaczka, rzucając się po pokładzie, wybiła sobie oko. Ma skrzydła jak nietoperz, długa zaś była na 20 centymetrów.

Ptaki morskie, zwane po hiszpańsku *gabiotes*, tak samo widzieć można było często. Żyją one tylko na wodzie; chwytają sobie ryby i jak który z nich co ułowi, to wszystkie mu lecą na pomoc; wtenczas siadają sobie społem na wodzie i spożywają łup, dzieląc się po bratersku.

Wiele innych jeszcze ryb i gadzin morskich widzieliśmy w ciągu naszej podróży, lecz nie pozwalają mi tego wszystkiego opisywać rozmiary niniejszego listu.

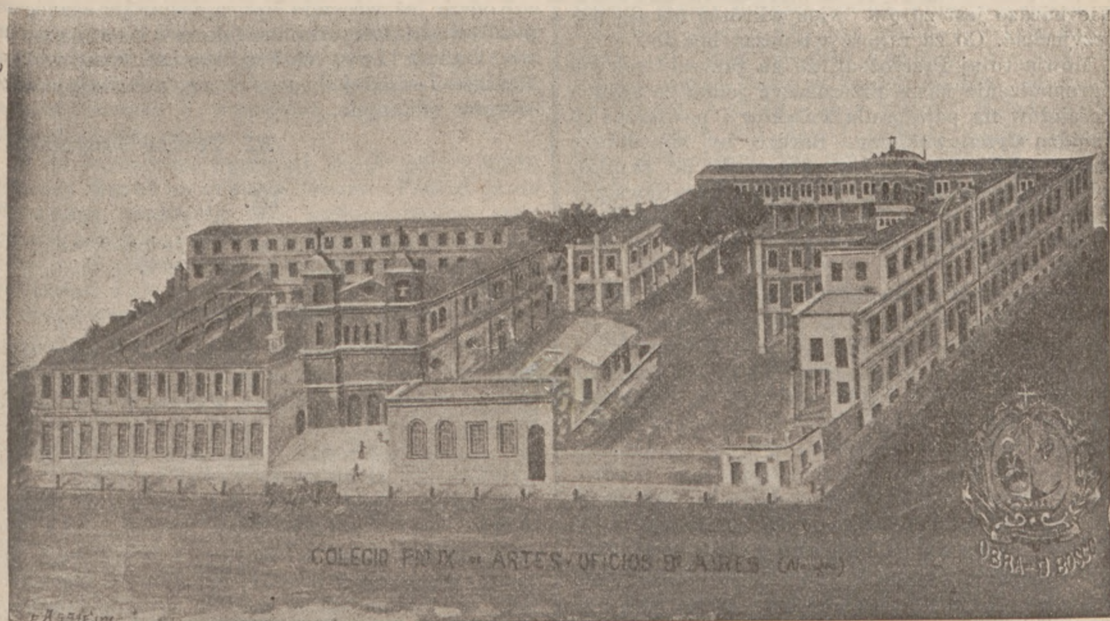
Dnia 19go listopada, krótko po godzinie 11ej przed południem, stanęliśmy przed **Montevideo**, stolicą rzeczypospolitej uruguayskiej. Okręt nasz zarzucił kotwicę na 2000 metrów od brzegu. Zaraz przybył nas przywitać Przew. X. Inspektor **Gamba** i zaprosił nas wszystkich do kolegium salezyańskiego w **Montevideo**. Wyjechaliśmy szczęśliwie na brzeg, lecz nazad wracaliśmy w śmiertelnej trwodze. **Montevideo** jest dosyć wielkie i piękne miasto, liczące 100,000 mieszkańców. Ulice są szerokie, lecz nierówne; miasto bowiem rozsiadło się na licznych pagórkach. Ulice są wysadzone różnemi drzewami. Domy są większą częścią o jednem piętrze. Zakładów salezyańskich mamy w tem mieście dwa; **Siostry Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki** posiadają ich trzy. W **Las Piedras** znajduje się nowicyat, który coraz więcej się rozwija. W **Montevideo** będą tego roku ciągnąć dalej budowę domu, który będzie miał trzy piętra. Dość pospiesznie szliśmy przez miasto z powrotem do portu, ponieważ *Sirio* o godzinie 8ej wieczorem odpływał do **Buenos Ayres**. Morze było niespokojne i, prawdę powiedziawszy, nie mogliśmy się nadziwić, jak marynarze odważyli się zawieść nas tak lichym parowcem w takiej burzy. Lecz co to nie mogą pieniądze i chęć zarobku! Wsiedliśmy więc na maleńki parowiec: X. Dyrektor, 12 zakonnic i 24 kleryków; siedzieliśmy częścią na kilku ławkach, częścią na jakiejś skrzyni, trzymając się ich mocno, ile kto miał siły: zakonnice zajęły szczupłą i ciasną kajutę. Od czasu do czasu bałwany wdzierały się na parowiec i nas całych oblewały: im dalej zaś płynęliśmy (trzeba było blisko 3 kwadranse płynąć do *Sirio*) to morze coraz więcej się burzyło, zaczem również parowiec coraz bardziej to zapadał się w głębinę, to znowu wysoko był wynoszony w górę. **Wolny** usiłował z początku trzymać się na nogach, a gdy widział walący się na nas z daleka większy jaki bałwan, wołał: ,,*attenti! baczność! trzymajcie się mocno!*" Trwało to tak całe trzy kwadranse. Zmokliśmy jak nurki i od głowy do stóp lała się z nas ciurkiem słona woda. Ja byłem stosunkowo bardziej od innych na uderzenie bałwanów wystawiony, ponieważ zastawiałem sobą X. Dyrektora.

Po długiem borykaniu się z rozhukanym żywiołem, zbliżyliśmy się nareszcie ku naszemu *Sirio*, który począwszy od wyjazdu z **Montevideo** przedstawiał nam się jak arka ocalenia, lecz właśnie tutaj najgorsza czekała nas przeprawa i śmierć była najbliższą. Trzeba wiedzieć, iż kiedy morze jest niespokojne, to bijąc falami o ściany wielkich zwłaszcza statków, tworzy przy nich bałwany jeszcze większe, aniżeli na otwartej głębinie. Więc także nasz mały parowiec, dostawszy się tuż przy *Sirio* w istny wir, to rzucających się nań, to znów odrzucanych odmętów, tańczył i okręcał się na wszystkie strony. Póki żyć będę, nie zapomnę tego mazura, któregośmy tam mimowoli w 18 par odtańczyli. Ze *Sirio* podano nam dwie liny, lecz jednę tylko udało się nam na chwilę pochwycić: druga wpadła do morza. Tymczasem bałwany ciągle rosły: to pędziły same nasz statek na blachą obitą ścianę *Sirio*, to znowu go odrzucały wstecz: jednego razu otwarło się przed nami morze tak głęboko, że można było doskonale widzieć spód okrętu *Sirio*, a zaraz potem straszna jakaś podwodna siła podrzuciła nami i uniosła w górę na wysokość jego pokładu. Wtedy wszyscy już myśleliśmy, że z nami będzie koniec. ,,*Najświętsza Maryo Panno, Wspomożenie Wiernych! ratuj nas!*" wołaliśmy wszyscy. Blisko kwadrans trwały tak te nasze manewry przed okrętem, który miał nas ocalić, a u stóp którego rozwierał się natomiast co chwilę mokry grób dla nas. Jeden bałwan uderzył we mnie z taką siłą, iż nie wiele brakowało, a byłby mnie w morze wrzucił, tylko **Wolny** mnie wczas pochwycił i uratował. Rzucaliśmy medaliki **Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych**, w spienione odmęty, ażeby się uspokoiły, lecz N a j ś w i ę t s z a P a n n a chciała nas jeszcze wystawić na dłuższą próbę. Kapitan statku *Sirio* i cała jego załoga szukali wszelkich sposobów, aby nas ocalić, lecz wszystkie ich starania były daremne. Niedawni współpasażerowie nasi, ze wszystkich trzech pokładów przypatrywali nam się z załamanemi rękami, wołając, iż jesteśmy straceni.

Widząc kapitan maleńkiego parowca, że wszelkie wysiłki na nic się nie zdadzą, nawrócił z wielką trudnością jego przód ku **Montevideo** i płynął, jak się dało, napowrót ku brzegowi. Dzięki przemożnemu i aż do końca życia naszego nigdy niezapomnianemu wstawieniu się za nami **Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki**, której pomocy z całego serca wzywaliśmy, przybiliśmy nareszcie szczęśliwie do brzegu. Co za nieszczęście byłoby dla całego Zgromadzenia salezyańskiego,

gdyby 36 jego misyonarzy i misyonarek przeprawiwszy się szczęśliwie przez **Atlantyk**, utonęło tuż przy brzegu amerykańskim, w zatoce **Montevideo**! A jednak dyabeł nie zwyciężył. Starła mu znowu łeb N i e w i a s t a, która nosi miano **Wspomożycielki Chrześcijan**. Niech będzie na wieki wychwalona **Najświętsza Marya Panna**, **Wspomożenie Wiernych**, gdyż Ona była naszą Wybawicielką od niechybnej śmierci!

Wysiedliśmy na brzeg, zmokli aż do samej skóry. Pojechaliśmy zaraz do kolegium; tam nie mogli się nadziwić nad naszą przygodą. Zakonnice nie wycierpiały tyle, ile my, ponieważ od początku do końca wycieczki znajdowały się w maleńkiej kajucie. Dyabeł musiał widocznie wściekać się ze złości, żeśmy się nie potopili, i nie



Kolegium salezyańskie w *Almagro* **(B u e n o s A y r e s).**

zdoławszy zgubić nas na morzu, sprawił przynajmniej to, iż kiedy zakonnice (a było to już późno wieczorem) jechały dorożkami do swojego kolegium, to połamał im koła, i to u *obudwóch* powozów. Biedaczki musiały stać dłuższy czas na ulicy, aż inne dorożki sprowadzono.

Na drugi dzień odpłynęliśmy późno w noc do **Buenos Ayres** na parowcu *Elios*. Rano, o godzinie 5 1/2, w niedzielę 20go listopada, stanęliśmy wreszcie w stolicy rzeczypospolitej **argentyńskiej**. Do portu tego miasta tylko małe okręty mogą zawinąć, wielkie statki udają się do **Plata**, portu nadzwyczaj pięknego i obszernego. Wylądowawszy tam z *Elios*, zajechaliśmy omnibusem do naszego kolegium w **Almagro**. **Buenos Ayres** jest miastem nadzwyczaj rozległem, liczy do 600,000 mieszkańców, w znacznej części **Włochów**, **Anglików**, a także **Niemców**. Ulice są długie i niezmiernie szerokie; *omnibusów* i *tramwajów* jest tyle, iż niekiedy jedzie ich siedm i ośm, jeden za drugim; doróżkarze i woźnice, jadąc po ulicach, trąbią niemal ustawicznie i wygrywają różne kawałki. Koni jest tam prawie jeszcze więcej, niż ludzi, to też zwłaszcza latem (a więc w miesiącu grudniu i styczniu) można często napotkać końską padlinę, leżącą na ulicach. Chłopcy tutejsi znakomicie jeżdżą; co nie dziw, bo zaledwie zaczynają chodzić, to rodzice ich zaraz na konia wsadzają i uczą harcować; nierzadko widuję tu małych berbeciów, których ledwie przy ziemi widać, gdy chodzą pieszo, a skoro konia dosiędą, to pędzą jak kozacy. Po za **Buenos Ayres**, już bardziej na stepach, kiedy mają iść do szkoły, to żaden z nich nie udaje się pieszo, tylko konno; stanąwszy na miejscu, przywiąże konia gdzie przy szopie, lub płocie, a sam idzie do szkoły.

W rzeczypospolitej **Argentyńskiej** (licząc w to oczywiście także **Patagonię**) posiadamy blisko 50 *domów*, tj., kolegiów, zakładów i stacyi misyjnych. Główny dom (jak O r a t o r y u m w **Turynie**), jest tutaj w **Almagro**, pod nazwą *kolegium Piusa IX* (Colegio Pio IX). Mieści w sobie 300 studentów i 300 rzemieślników. Kościół jest zarazem parafialnym i bardzo śliczny. Tutaj kształcą się misyonarze, którzy później udają się na **pampas** (= stepy) do dzikich, indyjskich szczepów. Przy tym samym domu (po drugiej stronie kościoła), wznosi się główny dom naszych Sióstr.

O pół godziny od **Buenos Ayres** leży *dom*, przeznaczony na nowicyat, **Bernal**. Nie jest bardzo wielki, co się tyczy personalu, ponieważ od trzech lat dopiero istnieje. Przełożeni zamierzają zakład ten powiększyć, tak iżby służył i dla rzemieślników i dla kleryków. Powietrze jest tu bardzo

zdrowe, lecz czasami tak silny wiatr wieje od strony stepów (**pampas**), iż dachy zrywa, jak już raz taki *pampero* zrobił z naszym. Przebywam obecnie w **Bernal** jako asystent aspirantów do nowicyatu; bardzo mi tutaj wesoło i dużo mam sposobności nauczenia się dobrze po hiszpańsku.

Oto opisałem Wielebnemu X. Redaktorowi pokrótce całą naszą podróż i mam nadzieję, iż za jakiś czas, gdy lepiej poznam te strony, będę mógł znów jaki liścik do **Turynu** posłać.

Jestem razem z kl. Ignacym **Hlondem**, który daje Wielebnego Księdza pozdrowić z całego serca; po wakacyach (które kończą się tu w połowie lutego) otrzymam zapewne inne wyznaczone sobie miejsce. **X. Cynalewski** pisał do nas do **Bernal,** dowiadując się, ilu **Polaków** przyjechało. Nie bardzo jest zdrów, więc wkrótce ma do nas przyjechać. Co za radość wtenczas będzie!

Mówią tutaj Przełożeni, że na przyszły rok ma Zgromadzenie nasze przeznaczyć jeden ze swoich kościołów na parafią dla **Polaków** i powierzyć go księdzu **Cynalewskiemu.** Bardzo by się dobrze stało, gdyby ten zamiar przyszedł do skutku, gdyż wtenczas wychodźcy **Polacy**, przybywający coraz liczniej w te strony, znaleźliby sumienną i serdeczną opiekę duchowną u kapłana własnej narodowości.

„Wiadomości salezyańskie“ proszę nam przysyłać regularnie co miesiąc: one bowiem są jedyną pociechą polską dla nas misyonarzy.

Co do mnie, to jestem tutaj dzięki Bogu zdrów; w ciągu podróży zgoła nic nie ucierpiałem, owszem, tak się przyzwyczaiłem do morza, że naprawdę, było mi żal je opuścić. **Fligier** na tymczasem jest w **Almagro** i zasyła serdeczne pozdrowienie Wiel. Księdzu Dobrodziejowi. Na razie nie mam tu innego zajęcia, jak asystować aspirantom, uczyć się po hiszpańsku i nie zaniedbywać muzyki; pomimo to mam dosyć jeszcze czasu wolnego, z czego korzystając, piszę listy na wszystkie strony świata. Będę się starał wysyłać często jakie wiadomości stąd Wiel. Księdzu Dobrodziejowi.

Na ostatku mały dodatek do opisu burzy, jaka nas w listopadzie zaskoczyła w zatoce **Montevideo**.

Zaraz po naszem przybyciu do **Buenos Ayres** posłano trzech z naszego grona do portu **Plata**, by tam odebrać wszystkie nasze rzeczy i kufry podróżne, jakie tam zostały złożone. Gdy ich kapitan i komisarz statku *Sirio* ujrzeli, nie wiedzieli z radości, jak ich przywitać. Lecz to oświadczyli jawnie i bez ogródki, że w takiej burzy, po ludzku sądząc, musielibyśmy się byli wszyscy potopić, co jeżeli się nie stało, to mamy jedynie Opatrzności Boskiej do zawdzięczenia. X. Dyrektor zaprosił komisarza do naszego kolegium w **Almagro**; jakoż pewnego dnia poczciwy ten człowiek przybył do nas. X. Dyrektor, aby mu się wywdzięczyć za staranie i opiekę, jakiej nam nic szczędził w ciągu podróży, postanowił go przyjąć, jak tu zazwyczaj się przyjmuje znaczniejszych naszych dobrodziejów: kazał więc zwołać naszą domową „bandę,“ a gdy komisarz wchodził na dziedziniec zakładu, zagrała mu kapela od ucha, tak że z radości aż sobie podskoczył. Poobwodzili go po całym domu, z czego bardzo był zadowolonym. Przyobiecał, iż na przyszły miesiąc przybędzie do nas razem z kapitanem. Wielką nam przez to sprawią przyjemność; obaj bowiem są to ludzie zacni i dobrzy katolicy. W drodze z **Montevideo do Plata** także *Sirio* wytrząsł i wykołysał się mocno; burza była tak silną, że załoga pewną była, iż statek lada chwilę pogrąży się we falach. Marynarze sądzą zazwyczaj, że księża przynoszą ze sobą burzę, lecz tym razem księży na statku przecież wcale nie było, a burza jeszcze większa powstała.

Kończę już wreszcie list, a zasyłając serdeczne pozdrowienie wszystkim rodakom w Oratoryum, we Valsalice, w **Foglizzo**, w **Ivrei**, w **San Benigno** i w całej diasporze, pozostaję zawsze szczerze oddanym

Kl. Teodor Drzymała.

III.

Lorena (rzeczp. brazylijska, Ameryka południowa), 8go grudnia 1897.

Czcigodny Księże Dobrodzieju,

Przybyliśmy wszyscy szczęśliwie i przy dość dobrem zdrowiu na miejsce naszego przeznaczenia. **Najświętsza Marya Panna, Wspomożenie Wiernych**, pod Opieką której puściliśmy się w drogę, okazała się również dla nas troskliwą Matką i Opiekunką aż do końca naszej podróży.

Zaledwie opuściliśmy Jej przybytek święty w Oratoryum turyńskiem, świadka tylu uroczystych pożegnań towarzyszy i współbraci naszych, pracujących dzisiaj z zapałem na szerokiem polu misyjnem wśród dzikich szczepów *nowego świata*, — zaledwie pohamowaliśmy jako tako wzruszenie, ogarniające nas mimowoli na samą myśl, że już może po raz ostatni i widzimy się i żegnamy z naszymi braćmi, wiernymi towarzyszami wspólnej doli i niedoli, — kiedy już otrzymaliśmy ostatni uścisk i ostatnie słowa pożegnania, ostatnie: *jedźcie z Bogiem*! na drogę od naszych kochanych Przełożonych, — pożegnawszy po raz ostatni grono rodaków, oczekujących nas na dziedzińcu Oratoryum, pospieszyliśmy na stacyą *Porta Nuova*, udając się do **Genui**. Zaledwie zdążyliśmy wsiąść do pociągu, gdy lokomotywa dała znak do odjazdu i za kilka minut znaleźliśmy się po za **Turynem**.

O 8ej wieczorem stanęliśmy na dworcu **San Pier d'Arena**, gdzie zastaliśmy już oczekujących nas współbraci. Po przywitaniu serdecznem zaprowadzili nas do kolegium, gdzie znaleźliśmy miłe nad wyraz przyjęcie. Na drugi dzień, odprawiwszy t. z. *przygotowanie się na dobrą śmierć* (= jednodniowe ćwiczenie duchowne), bardzo dla nas stosowne, mających właśnie życie swoje powierzyć zdradliwemu żywiołowi, zwiedziliśmy war-

sztaty rzemieślnicze i inne zakłady domowe; na miasto jednakże wyjść i zwiedzić kościoły, chociaż mieliśmy wielką do tego ochotę, nie mogliśmy z powodu wichru, który nie pozwalał nam się wychylić z domu, zrywał bowiem kapelusze z głowy i zmuszał biedz za nimi, a przytem inne jeszcze wyrządzał psoty.

O 1 ½ po południu byliśmy wszyscy gotowi puścić się w imię Boże w drogę. O 2ej opuściliśmy kolegium, a za kwadrans byliśmy już w porcie genueńskim.

Wsiadanie na statek odbyło się szybko: o 3ej już znajdowaliśmy się na pokładzie okrętu *Washington*, istnego *navis longa*, miał bowiem w długości 115 metrów, szeroki zaś był tylko metrów 10, dla której to wązkości swojej (tak przynajmniej później twierdzono) był tak brutalnie poniewierany od bałwanów morskich. Jestto okręt, po większej części służący do przewożenia wychodźców włoskich do **Ameryki** południowej. Emigrantów tych, prawie wszystkich pochodzących z prowincyi **neapolitańskich** i **weneckich**, było na okręcie przeszło 1,400 osób.

O 8ej wieczorem wypłynął *Washington* z portu pysznej **Genui** na otwarte morze. Podróż aż do **Barcelony** mieliśmy jak najniepomyślniejszą: prawie wszyscy ulegliśmy chorobie morskiej, która przez cały czas żeglugi nie pozwoliła nam ani wytchnąć. Fale pochylały okręt to w jedną, to w drugą stronę, on jednak, znając swą siłę odporną (posiadał bowiem całe urządzenie, a zwłaszcza maszyneryą najnowszego kalibru i bardzo silną), prostował się ciągle, rozbijał bałwany i szedł śmiało naprzód. Otwierały się wprawdzie przed nim przepaści, tak iż zdawało się nieraz, że z nich nie wypłynie, on wszakże, o ile głęboko zapadał, o tyle znów wysoko podnosił się na bałwanach. Takie podwójne kołysanie się sprawiło nam wielki zawrót głowy i przyczyniło się do osłabienia całego systemu nerwowego.

Po dość długiej, nad wyraz niemiłej podróży, stanęliśmy przed **Barceloną**, gdzie zatrzymaliśmy się blisko 8 godzin.

O 4ej po południu *Washington* podniósł kotwicę i zaraz ruszył w drogę. Wszyscy prawie ze smutkiem opuszczali port barceloński, który ofiarował nam dość bezpieczne, a w każdym razie spokojne schronienie na kilka godzin. Byliśmy z góry przygotowani na nowe kołysanie się i nowe objawy choroby morskiej. Lecz próżne były obawy.

Wypłynąwszy z portu mieliśmy morze tak spokojne, że zdawało się, iż okręt wcale się nie poruszał, a on tymczasem przebiegał 14 ½ mil geograficznych na godzinę: byłto bieg najszybszy, do jakiego *Washington* zdołał doprowadzić w ciągu całej podróży. Cisza i spokój na morzu trwał także przez resztę tego dnia (12go listopada), jak niemniej przez cały dzień następny (13 list.), poświęcony czci św. **Stanisława Kostki**; to też wesołość zapanowała na całym okręcie: zaczęliśmy drwić z doznanych przygód w ciągu żeglugi pomiędzy **Genuą** a **Barceloną**, wynosząc jeden po drugim nieustraszone swoje męstwo, niektórzy nie wahali się podnosić takowe aż do heroizmu, z jakim potrafili przemódz kołysanie się okrętu i następstwa jego, niepomni, że znajdowali się blisko cieśniny **gibraltarskiej** i *Atlantyku*, gdzie miało okazać się, czy w rzeczywistości słowa ich odpowiedzą czynom.

Nie potrzeba było długo czekać: o 3ej po północy (ze soboty na niedzielę) przepłynęliśmy cieśninę, a skoro śmy się wydostali na szeroki *Ocean*, rozpoczęły się na nowo dawne przygody. W łóżku nikt prawie nie mógł się ostać: ustawiczne przechylanie się okrętu zmuszało każdego trzymać się silnie czegoś przymocowanego, aby nie przelatywać z jednego boku na drugi, jak to czyniły np. walizki, krzesełka i inne meble, na sali znajdujące się, a zwłaszcza przedmioty szklanne, brząkające po różnych kątach.

Dnia tego, w którym Kościół obchodził święto **Opieki Matki Boskiej**, szatan widocznie dokładał wszelkich starań, aby nas pozbawić wysłuchania Mszy św., lecz pomimo ciągłego chwiania się okrętu, dwóch naszych księży zdołało odprawić św. Ofiarę, a wielu z nas przyjąć Komunią św. Przez resztę dni naszej podróży morze zawsze było niespokojne, raz mniej, drugi raz więcej; jednakże dwa razy tylko zostaliśmy bez Mszy św.: zresztą we wszystkie inne dni, lubo z wielkim wysiłkiem i ostrożnością, zawsze się odprawiały.

Choroba morska wielu zaczęła trapić i nie opuszczała ich aż do końca podróży. Jedna z naszych Sióstr, zachorowawszy ciężko, dnia 27go listopada, podczas podniesienia, w czasie Mszy św., przeniosła się do ojczyzny błogosławionych. Śmierć czcigodnej zakonnicy zasmuciła nas wszystkich. Podobało się Panu Bogu nawiedzić nas w ciągu podróży, niech więc stanie się wola Jego święta! Bóg zasmucił, Bóg też pocieszy. Chociaż strata nieboszczki Siostry z jednej strony głęboko nas dotknęła, to z drugiej cieszyło nas niepomiernie, że przynajmniej mogliśmy dowieźć jej zwłoki do *Wielkiej Wyspy* (Ilha Grande), od której byliśmy tylko kilkanaście godzin oddaleni, i tam nieboszczkę pochować w święconej ziemi, nie zaś w morzu. Jakoż dnia 28go przypłynęliśmy do wyspy, skąd zaraz przybyła *komisya sanitarna*, która bardzo się nam okazała przychylną, bez żadnych bowiem trudności pozwoliła zmarłą pochować i wysiąść wszystkim Salezyanom, pomimo *żółtej febry*, która grasowała na wyspie. Nie wszyscy wszakże mogliśmy wziąć udział w pogrzebie, ponieważ marynarze spuścili tylko dwie łodzie na morze, sądząc, że pomieścimy się w nich wszyscy, lecz z powodu iż kilku urzędników z *Washington*'a również zapragnęło pogrzebowi towarzyszyć, przeto kilku z naszych musiało pozostać na okręcie. Ja miałem to szczęście, dostać się do łódki i uczestniczyć w pogrzebie. Siostry niosły zmarłą przez ulice miasteczka aż na cmentarz, my zaś postępowaliśmy za niemi, odmawiając psalmy. Skoro tylko spuszczono trumnę do grobu, musieliśmy zaraz opuścić cmentarz i wyspę, spiesząc do statku, który jedynie na chwilę t. j. na czas pogrzebu był przystanął. Wyobraźcie sobie, z jakim żalem opuszczaliśmy wyspę, prawda, bardzo malowniczą, ale czyż mogła

nas interesować jej piękność, podczas gdy czuliśmy ból w sercu? Wsiadłszy napowrót na okręt, za kilka minut byliśmy już w pełnym ruchu.

Zmiana klimatu i skosztowanie rozkoszy, jaką niezawodnie jest stąpanie po stałym lądzie dla takich, co kilkanaście dni płynęli statkiem na rozhukanem morzu, nabawiło kilku z nas na nowo choroby morskiej i boleści żołądkowych; do nich i ja się zaliczałem.

Na drugi dzień, 29go listopada, przyjechaliśmy wreszcie do portu **Sanctos**; tu zatrzymał się *Washington*, tu bowiem był koniec jego podróży. Przybyła, jak zwykle, *komisya sanitarna*, w kilka minut później, *komisya immigracyjna*, która sprawdziwszy listę emigrantów, rozpoczęła od razu ładowanie swojego towaru, gdyż w istocie obchodzono się z biednymi wychodźcami nieprzymierzając, jak z bydłem. Aż litość brała patrząc na brutalność urzędników. My wysiedliśmy o 2ej po południu w przystani i udaliśmy się zaraz na stacyę drogi żelaznej, prowadzącej do **São Paulo**. W trzy godziny stanęliśmy już na dworcu tegoż miasta, gdzie zastaliśmy oczekujących nas współbraci, którzy z uniesieniem radości nas powitawszy, zabrali zaraz ze sobą do naszego domu. Tu oczywiście nie mogło się obyć, aby kapela zakładu, równająca się co do liczby i doboru członków, kapeli w O r a t o r y u m, nie przyjęła nas marszem powitalnym przy wejściu do kolegium; wychowankowie zakładu oczekiwali nasze grono w dużej sali, gdzie na powitanie X. Inspektora **Peretto** i z nim przybyłych, odbyła się t. z. *akademia*.

W **São Paulo** zatrzymaliśmy się dwa dni, aby nieco wypocząć po trudach podróży; w tym czasie mieliśmy sposobność zwiedzić warsztaty rzemieślnicze, które prawie na równi stoją z O r a t o r y u m w **Turynie**.

1go grudnia wyruszyliśmy z **São Paulo** do **Loreny**; podróż mieliśmy *gratis* od Prezydenta rzeczypospolitej, i to od samego kolegium, gdyż nawet *omnibus*, który nas dowiózł do stacyi, był umyślnie po nas przysłany. Po sześciogodzinnej przejażdżce pomiędzy *palmami*, *plantacyami kawy* i zaroślami najróżniejszych, nam całkiem nieznanych drzew, stanęliśmy na dworcu w **Lorenie**, gdzie oczekiwali nas wszyscy wychowankowie naszego kolegium (rozumie się z kapelą), klerycy z nowicyatu, pomiędzy którymi było dwóch **Polaków**, Przełożeni i masa ludu z miasta. Zaledwie stanął pociąg, kapela zagrała *hymn narodowy*, prowadząc nas tak aż do naszego domu. Zbliżając się do kolegium, zobaczyliśmy coś dziwnego i nowego dla nas: oto puszczano ognie sztuczne i rakiety na naszą cześć, a było przecież samo południe i żar słońca dochodził do 30 stopni. Widać, że się znajdujemy w *świecie nowym*, bo w starym (zwłaszcza w **Europie**) coś podobnego chybaby nie uchodziło. Przynajmniej we Włoszech opowiada się o sławetnych mieszczanach z **Cuneo**, które w **Piemoncie** zażywa zupełnie takiej samej sławy, co u nas np. **Pacanów**, a u Niemców **Buxtehude**, że ognie sztuczne spalają nie *wieczorem*, lecz we dnie, „*żeby lepiej było je widać.*“

Zaczem weszliśmy do kościoła, gdzie odśpiewano uroczyście *Te Deum* i udzielono nam błogosławieństwa Najśw. Sakramentu. Tu w **Lorenie** mamy zatrzymać się przez wakacye (tj. aż do połowy lutego), poczem zapewne będziemy rozesłani po różnych naszych domach w **Brazylii**. W tych dniach zwiedziliśmy dom i zakłady w mieście **Guaratinguetá** Sióstr **Salezyanek**, i drugi, przeznaczony dla **Salezyanów**, prawie już na ukończeniu. Widząc, ile dobrego czyni się dla młodzieży płci obojga w **Ameryce** południowej, stała mi ciągle na myśli miła nasza ojczyzna, pozbawiona wciąż jeszcze domów salezyańskich. Ach! kiedyż zaczniemy nareszcie działać na własnej niwie!

Kończę list, a polecając siebie i współbraci modlitwom Czcigodnego Księdza Dobrodzieja, pozostaję z głęboką czcią i uszanowaniem

Kl. Andrzej Burzyński.

IV.

R z y m, w grudniu 1897.

WIELEBNY X. REDAKTORZE,

Upłynęły już dwa miesiące, odkąd przybyłem do „wiecznego miasta,“ zaczem najwyższy czas, bym X. Dobrodziejowi dał o sobie znać, tem więcej, że tym zwłaszcza razem na brak materyału nie mogę narzekać, — owszem, tyle mam rzeczy do pisania, że doprawdy nie wiem, której z nich dać pierwszeństwo.

Dotychczas zwiedziłem główniejsze pamiątki historyczne, oraz kościoły i pamiątki chrześcijańskie przesławnej *stolicy świata* i Kościoła, założonego przez Chrystusa Pana. Pomiędzy temi największe wrażenie sprawiły na mnie kościół św. **Piotra**, **Kolosseum** i **forum Romanum**.

Przechodząc ulicami R z y m u, dźwigającego od lat 27 narzucone sobie jarzmo nowych panów, miło zawsze widzieć kościoły, kaplice i wiele starożytnych pałaców, noszących herby papieskie z różnych wieków. Świadczą one, kto był i jest starego R z y m u prawowitym monarchą. Herb nosi również pałac k w i r y n a l s k i, aż do roku 1870 siedziba letnia P a p i e ż y, teraz zaś pałac królów włoskich. Rząd włoski nie odważył się dotychczas zerwać z niego herbów prawowitych jego Panów, czem wszystkim dokonaną przez siebie grabież poświadcza.

Tu i owdzie sterczą wiekotrwałe, po starożytnych E g i p c y a n a c h pozostałe *obeliski*, tryskają wysoko rozmaite fontanny, wznoszą się liczne świata pogańskiego, a więcej jeszcze chrześcijańskiego pomniki, a gęsto rozsiane i z różnych pochodzące wieków napisy jawnie głoszą, że mimo zaboru przez tryumfującą i ze swego gwałtu chełpiącą się rewolucyę, miasto to jest miastem P a p i e ż y, stolicą n i e Włoch, lecz Kościoła katolickiego, że co w niem artystycznie pięknego, przez P a p i e ż y zostało dokonane, a przeciwnie wszystko, co je szpeci i co mu nadaje szary wygląd miasta nowożytnego, zacierając urok, jaki

bije z pamiątek historycznych, jest dziełem zaborczego rządu i panoszącej się sekty masońskiej.

Dziwnego wrażenia doznaje prawdziwy katolik, gdy przeszedłszy **Tyber** i minąwszy zamek św. Anioła, spostrzega naraz przed sobą kościół św. Piotra i przytykający doń pałac watykański. Serce zaczyna bić mocniej w piersi, a najmilsze uczucia przenikają duszę. Tutaj przebywa Ojciec chrześcijaństwa, tu jego stolica, tuześrodkowuje się wszystko, co jest najdroższem, co zawsze będzie najświętszem dla każdego prawego, Boga i Kościół Chrystusa szczerze miłującego katolika.

Tęsknie wstępuje się do największego i najpiękniejszego w chrześcijaństwie kościoła i chwil kilka zatrzymuje się nieruchomo przy wejściu: widok tej przesławnej i nagromadzonych, artystycznych skarbów pełnej świątyni, jej majestat, przejmuje do głębi a zarazem onieśmiela. Niewiadomo, gdzie najprzód oczy obrócić, gdyż wszystko przyciąga je ku sobie; co tylko wzrok ogarnie, gdzie oko padnie, tam zatrzymuje się długo i nie chce się oderwać. Najrozmaitsze marmury, potężne kolumny, prześliczne mozaiki, posągi Papieży i założycieli zakonów, wspaniałe ołtarze, wysoka, największa w całym świecie i najwspanialsza kopuła i wijący się u jej spodu napis, że „*na tej Opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie zwyciężą go,*“ — wszystko, wszystko tam odpowiada wspaniałości i majestatowi prawdziwej Wiary, której bazylika św. Piotra pierwszym jest kościołem; wszystko odpowiada godności Następcy św. Piotra i Namiestnika Chrystusa.

Po kaplicach znajdują się konfesyonały dla głównych narodowości katolickich; jest również jeden, na którym napisano: „*pro lingua polonica.*“

Kolosseum wznosi się w starej części miasta; wygląda jak olbrzym, pochylony latami, co dla zbyt podeszłego wieku łaskawej potrzebuje podpory. Miał ją zawsze za panowania Papieży, zabrakło jej natomiast pod rządem włoskim. Droga pamiątka chrześcijańska i szczątek starożytności musi obecnie nieraz służyć do celów niegodnych. Sterczy tam jeszcze dziś jedna część kolosalnych murów, świadków tylu scen barbarzyńskich, ale i wzniosłych, świadków męczeństwa i krwi rozlanej Wyznawców Chrystusa — *nasienia chrześcijaństwa*; widzieć jeszcze można klatki, które chowały dzikie zwierzęta, pozostały jeszcze rzędy siedzeń widzów i ta część muru, na której stał tron Cezarów. Jak się to czasy zmieniają! Nie chciałoby się wierzyć, że tu pod oklaskami 80,000 i więcej Rzymian, gladiatorzy jeden drugiemu życie odbierali; że pod oczami tychże Rzymian odbywały się wstrętne, ohydne, grozą przejmujące widowiska; że tu, gdzie krew chrześcijańska lała się strumieniami, uświęcając to miejsce i z bezbożnego teatru na drogą relikwię dla wszystkich wieków je zamieniając, rozpoczął się w części upadek starożytnego Rzymu.

Od Kolosseum, drogą, prowadzącą mimo ruin pałaców Cezarów, dochodzi się do **forum Romanum**. Tu i owdzie widać jeszcze resztki świątyń, kawały murów, poczerniałych od starości, na ziemi leżą połamane kolumny, wszędzie pełno głazów wszelkich form i wielkości, z których wieki ubiegłe nie zdołały zetrzeć piętna artyzmu, wkutego w nie dłonią snycerzy rzymskich, w niektórych miejscach szczątki posadzki, ułożonej w mozaikę, resztki *via sacra*, kędy ciągnęli zwycięscy wodzowie rzymscy na Kapitol, dwa łuki tryumfalne, świadki przebrzmiałej chwały starożytnej *Romy*, — oto, ile nam pozostało z tego sławnego *forum* rzymskiego, gdzie *Cicero* wygłaszał nieśmiertelne swoje mowy, gdzie zaszły lub miały początek najważniejsze wypadki historyi Rzymu!

Dnia 13go listopada, w którym przypada uroczystość św. Stanisława Kostki, poszedłem pomodlić się przy Jego zwłokach, w kościele *S. Andrea al Quirinale* i w Jego celi, tuż obok się znajdującej. Kościół ten kiedyś należał do dawnego nowicyatu OO. Jezuitów, który tak często jest wspominany w żywocie św. Alojzego. Stanisław Kostka był tu przyjęty za nowicyusza i uświęcił to miejsce najwznioślejszemi cnotami, dla których stał się chwałą dla ojczyzny i *Towarzystwa Jezusowego*, przykładem dla młodzieży, wielkim świętym i patronem Polski. Ponieważ w Rzymie wielkie mają nabożeństwo do tego świętego Młodzieniaszka, zatem kościół tego dnia przepełniony był od rana do wieczora ludźmi wszelkiego stanu, a szczególnie przedstawicielami duchowieństwa: biskupi, kapłani, alumni wszystkich kolegiów duchownych, wszyscy tam spieszyli, nie zważając na deszcz, który dnia tego niemało się dawał we znaki. Także uboga celka, w której nasz święty Rodak świat ten opuścił, była zawsze pełną; każdy bowiem pragnął ucałować stopy ślicznej marmurowej figury, która żywo przedstawia św. Stanisława na łożu śmierci w chwili, gdy Najśw. Marya Panna przychodzi zabrać jego duszę niewinną do nieba.

Prawda, że wszyscy się modlili i podziwiali heroiczne jego cnoty i uczynki, przedstawione na różnych obrazach, lecz ja nie mogłem nasycić oczu, patrząc na tę twarz anielską, na oczy, zwrócone ku niebu, na lilię, którą trzyma w ręku. Klęcząc u stóp św. Młodzieńca, mimowoli wybiegłem myślą do naszego kolegium we *Valsalice*, gdzie, będąc jeszcze studentem, należałem do *Stowarzyszenia św. Stanisława Kostki*, któreśmy w naszem gronie założyli. Wtenczas z pewnością nie miałem jeszcze ani myśli o Rzymie i ani mogłem przypuścić, że z pomiędzy tylu rodaków i współuczniów, mnie właśnie spotka to szczęście, że nauki filozoficzne i teologiczne będę pobierał w stolicy chrześcijaństwa, — a teraz oto na własne oczy oglądam tę celę, te ściany, te sprzęty, które mi żywo mówią o świętym Rodaku i jego cnotach. Widzę na własne oczy obraz, przedstawiający św. Stanisława, kiedy go brat okrutnie katuje, mam przed sobą ową scenę cudowną, kiedy Anioł podaje mu Komunię św.; tu patrzę na przedstawienie ucieczki jego z **Wiednia; tam wyrażone jest jego wstąpienie do nowicyatu**; gdzieindziej

Aniołowie piersi wodą mu zlewają, studząc żar jego serca, a największy ze wszystkich obrazów okazuje nam św. Stanisława na łożu śmierci, otoczonego od zapłakanych swych przełożonych i współbraci. Długo, długo patrzałem na te obrazy, podczas gdy w duszy budziły się rzewne uczucia i myśli: to o Polsce, najdroższej Ojczyźnie ziemskiej, która św. Stanisława wydała, to o niebie, Ojczyźnie wiecznej, w której On obecnie króluje, o powołaniu, o doskonałości. Na koniec, oderwawszy się od nich, odniosłem takie wrażenie i takie powziąłem postanowienie, że cela św. Stanisława Kostki w Rzymie pozostanie dla mnie na całe życie jedną z najmilszych pamiątek *Wiecznego Miasta*, do której uczęszczać będę, ile razy tylko zdarzy mi się sposobność.

Szkoły na uniwersytecie papieskim w **Collegium Romanum** zaczęły się 4go listopada. Nasz kleryk **Grzesik**, który już trzeci rok oddaje się naukom, ma za profesora **O. Remer'a**; kl. Jan **Leśnik**, z drugiego roku filozofii, chodzi na lekcye **O. Madureira**, ja uczęszczam na wykłady **O. Starace**. Do wykładów posługujemy się podręcznikiem Ojca **De Maria**, sławnego i w Rzymie i w całym świecie teologicznym autora licznych dzieł, szczególnie filozoficznych. Przez dłuższy przeciąg lat był on profesorem filozofii na tutejszym uniwersytecie (**Collegium Romanum**) i dla wielkiej biegłości w wykładach, a głównie z przyczyny wielu dzieł, jakiemi starał się przywrócić do dawnego blasku i wziętości naukę św. Tomasza, zyskał pochwały najuczeńszych mężów i sam Ojciec św., LEON XIII, wystosował doń kilka listów pochwalnych z uznaniem dla jego starań.

Tego roku już nie wykłada, ale pozostaje jeszcze na stanowisku *Prefekta szkolnego* uniwersytetu gregoryańskiego.

Rozdzielanie nagród najzdolniejszym uczniom tej przesławnej szkoły odbyło się dnia 26go listopada, w stosownie na ten uroczysty akt urządzonym kościele św. Ignacego.

Zebrali się tam wszyscy uczniowie tego uniwersytetu, t. j. około 1,200 kleryków i księży, i profesorowie (wszyscy z *Towarzystwa Jezusowego*), a całemu zebraniu prezydował Jego Eminencya X. Kardynał **Steinhuber, S. J.**, wraz z innymi prałatami. Bardzo piękny, prawdziwie podniosły był obrzęd, tak zwany „*nowych doktorów.*“ Odbył się w następujący sposób.

Alumni, którzy mieli dostąpić doktoratu, bądź w teologii, bądź we filozofii, odmawiają nasamprzód na kolanach przed krzyżem: *Wierzę w Boga*, i inne formuły wiary; w ten sposób stwierdzają, że wierzą we wszystko to, czego naucza Kościoł św. rzymsko-katolicki. Następnie, po jednemu klękają u stóp krzyża i trzymając prawą rękę na Ewangelii, przysięgają, że zawsze i ile im starczy sił bronić będą wiary Chrystusa Pana i że zawsze i tylko dla większej chwały Bożej będą się posługiwać odebranemi naukami. Po tej uroczystej przysiędze podchodzi każdy do *O. Prefekta* nauk, który najprzód wkłada mu na palec pierścień doktorski, godło nowej władzy, którą mu powierza, a następnie wkłada mu na głowę biret doktorski, jako oznakę godności. Potem wszyscy profesorowie uniwersytetu, począwszy od *Prefekta nauk*, ściskają nowych doktorów, czem uznawają ich za swych kolegów i, jeżeli tak można powiedzieć, za sobie równych. Po tem wszystkiem *O. Prefekt* umieszcza ich na krzesłach, jakoby na katedrach nauczycielskich, gdzie już pozostają aż do końca zebrania.

Po mowie, mianej przez jednego z nowych doktorów, czytają z katedry imiona tych, co sobie zasłużyli byli na nagrody, i każdy w ten sposób wywołany, udaje się do tronu X. Kardynała, który mu zawiesza na piersiach medal. Zdarza się często, że dwóch, trzech, czasem i więcej, zasłuży sobie na tęsamą nagrodę: wtenczas przychodzi do losowania i *caeteris paribus* medal otrzymuje ten, któremu szczęście sprzyjało.

Na tem kończy się uroczysty akt rozdzielania nagród, odbywający się corocznie z wielką okazałością, i będący dla wszystkich wielką do nauki podnietą: wzbudza bowiem w uczniach chwalebne współubieganie się, dzięki któremu alumni najróżniejszych kolegiów i narodowości dokładają się do nauki, aby prześcignąć (jeżeli to możebne) wszystkich innych współuczniów, podczas gdy w istocie najmilsza miłość braterska panuje między nimi i każdy pomaga drugiemu, w czem tylko może.

Na teraz dosyć na tem. Innym razem, gdy mi się znowu nazbiera treści do korespondencyi, nieomieszkam pisać znowu, bo wiem bardzo dobrze, i to z własnego doświadczenia, że listy z Rzymu bardzo chętnie czytuje wielu naszych rodaków w Turynie i gdzieindziej.

Kl. August Hlond.

ŁASKI

WYJEDNANE ZA PRZYCZYNĄ

NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY

WSPOMOŻENIA WIERNYCH.

Serdeczne dzięki niechaj będą po wszystkie czasy i wieki Najświętszej Wspomożycielce! — Jak już wielu innych szczęśliwych doznało łask od przemożnej Pocieszycielki utrapionych i Wspomożenia Wiernych, tak i ja otrzymałem wyraźny dowód Jej wstawienia się za mną w owym dniu zwłaszcza, kiedy byłem tak ciężko chory, iż ani pomyśleć nie mogłem, ażeby się udać do zwykłej swoje

pracy, chociaż wiedziałem dobrze, iż wskutek mojego niestawienia się do apelu, napewno ją utracę.

W tak ciężkiej chwili udałem się z prośbą o Opiekę do wszechpotężnej Wspomożycielki Wiernych i zaraz uczułem ulgę: mogłem powstać, a nawet (co dziwniejsza) udać się do pracy. Dzięki najłaskawszej przyczynie Najświętszej Maryi Panny jestem od owego dnia aż do dzisiaj zdrów i pracuję dalej.

W krytycznej owej chwili przyobiecałem złożyć na cele Zgromadzenia salezyańskiego 5 marek, z czego się niniejszem uiszczam.

Dzieckowice (Górny Śląsk).

Piotr Figura.

***

Czcigodni OO. Salezyanie! Po upływie długiego czasu dowiedziałem się tutaj w Brazylii z **„Wiadomości salezyańskich“** o łaskach, wyproszonych u Pana Boga za przyczyną Najświętszej Maryi Panny, wzywanej jako Wspomożycielki Wiernych, a udzielanych wszystkim tym, którzy się z żywą wiarą Opiece Jej polecą; dowiedziałem się również o błogim skutku noszenia na sobie medalików Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki, które jest bardzo skuteczne we wszelakiej potrzebie.

Otoż ja, mizerne stworzenie Boże, poleciłem Opiece Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, swoją córkę, która bardzo była chora. Zaledwie się to stało, polepszyło się jej widocznie i w krótkim czasie przyszła zupełnie do siebie.

Za tę łaskę, którą wyłącznie zawdzięczam przemożnemu wstawieniu się za nami Królowej nieba i ziemi, posyłam na ręce Wasze 3 *milrejsy* na Msze św. dziękczynne za łaskę otrzymaną, a 2 *milrejsy* na przysłanie mi medalików Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych.

Colonia Jaguar (Brazylia).

Franciszek i Marya Gorczakowie.

***

Najświętszej Maryi Pannie Wspomożycielce składam niniejszem serdeczne podziękowanie za wszystkie łaski, wyjednane przez Nią a niezawodnie uproszone przez modlitwy wychowywanej w Oratoryum turyńskiem dziatwy, aby mnie Pan Bóg od ciężkiej choroby, która mi groziła, zachować raczył.

Ufność, którąśmy wraz z całą moją rodziną położyli w przyczynie Najśw. Maryi Panny, Wspomożycielki Wiernych, nie została zawiedzoną. Bóg Najłaskawszy wysłuchał prośby dziatwy salezyańskiej i nasze. Za Jego pomocą mogłem bez przerwy wypełniać obowiązki moje.

Cześć i chwała niech będzie Panu Bogu i Najświętszej Wspomożycielce! Oby się wszyscy pod Jej Opiekę uciekali! Proszę niniejszą małą ofiarę przyjąć na cele Zgromadzenia, jako znak wdzięczności.

Bydgoszcz (Wielkie Księstwo Poznańskie).

Teodor Gluth.

***

Wspomożycielko Wiernych, przyczyń się za nami! — Miasteczko nasze od pewnego czasu nawiedzane było pożarami za sprawą rąk zbrodniczych. Będąc, jak wielu innych, z tego powodu w nieustannej trwodze, udałam się w gorącej modlitwie o Opiekę do Najświętszej Matki, Wspomożenia Wiernych, ażeby raczyła odwrócić niebezpieczeństwo pożogi od naszej mieściny wogóle, w szczególności zaś zachować nasz dom, tj. probostwo, od mściwej ręki, ślubując Jej, że na ile mnie stanie, będę wspierała datkami pieniężnymi *misye* i *zakłady* Zgromadzenia salezyańskiego.

Najświętsza Wspomożycielka raczyła przyjąć łaskawie niegodne moje i moich współobywateli modły i tego dnia jeszcze przytłumiła świeżo wybuchły pożar, nie pozwalając mu (powiedziećbym mogła: *cudownie*) ogarnąć składu prochu i okowity. Zamiarem bowiem widocznym zbrodniarza było, tam właśnie skierować pęd ognia, ażeby cztery familie w powietrze wysadzić. W tej krytycznej, a tyle groźnej chwili, nadbiegła na czas sikawka i zdołała zalać ogień w tem miejscu, a obywatelom udało się spiesznie przenieść proch i okowitę w bezpieczne miejsce, udało się im również jednego podpalacza ująć. Odtąd straże co noc troskliwie pilnują mienia i bezpieczeństwa mieszkańców. Oby Najświętsza Matka, Wspomożenie Wiernych, raczyła teraz przyczynić się do całkowitego naszego uspokojenia i uwolnić nas raz na zawsze od zbrodniarzy!

Margonin (Wielkie Księstwo Poznańskie).

Józefa Świerkocka.

***

Geehrter Herr Redacteur! Bitte recht sehr, nachstehendes Gedicht zu veröffentlichen. MARIA, die Christenhelferin, hat mich erhört. Nach einer neuntägigen Andacht für meinen Sohn, fasste derselbe den festen Entschluss, in's Kloster zu gehen und ist seit dem 16ten October 1897 im Noviziat der PP. Jesuiten in Starawieś in Galizien.

MARIA! schönste Himmelszier,
So hehr, so gut und rein,
MARIA! oh! lass danken Dir,
Dass Du gedachtest mein!

Und hast erhört mein heiss' Gebet,
Als ich, voll Traurigkeit,
Um Gnade für mein Kind gefleht
Und zu Dir rief voll Leid:

„Du bist es ja, Die helfen kann,
Du, Christenhelferin!
Und was mein Kind auch bös gethan,
Schenk' ihm ein reuig Sinn!

Und zieh sein Herz zu Dir empor,
Du, Mutter JESU CHRIST!
Der Dich zur Helferin erkor,
Der voller Liebe ist.

Oh! fleh' zu Ihm, MARIA rein,
Zum Herzen JESU, Du,
Damit das Herz des Kindes mein
Dort finde sel'ge Ruh!"

Was ich erbat, Du hast's gewährt,
Du, Christenhelferin!
Was ich erflcht, Du hast's erhört,
Mit treuen Muttersinn!

Von Sünden hat sich frei gemacht
Die Seel' des Kindes mein,
Als Gabe Dir sein Herz gebracht,
Will dienen Gott allein.

Und was es will, es werden soll,
Zur Gottes Ehr' allein,
Und Dir, MARIA gnadenvoll,
Dir dankt das Herze mein!

Kattowitz (Oberschlesien).

Elisabeth Miklis.

***

Życzę Wam wszystkiego dobrego w tym nowym roku, kochani OO. Salezyanie, i daję Wam do wiadomości, że Stanisław Weiss, za którym razem z Waszą dziatwą w Oratoryum turyńskiem nowennę do Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, odprawialiście, przyszedł już o tyle do zdrowia, że może chodzić. Z wdzięczności dla Najświętszej Wspomożycielki, posyła na Wasze zakłady 6 franków.

Bobrownik (Górny Śląsk).

Franciszek Żurek.

***

Ludwika Majewska z Pobiedzisk (Wielkie Księstwo Poznańskie) i Marya Koniczek z Petersdorf pod Gliwicami (Górny Śląsk) dziękują Najśw. Maryi Pannie Wspomożycielce za otrzymane zdrowie.

***

Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, dziękujemy za wiele łask, za Jej przemożną przyczyną otrzymanych.

Zawada (Górny Śląsk).

Paweł i Franciszka Musikantowie.

***

Piotr Kuzia z Kopalni Otylii (Górny Śląsk) dziękuje Najświętszej Wspomożycielce za odebrane łaski.

***

Zofia Kroemer z Dolnych Marklowic (Górny Śląsk) dziękuje Najśw. Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, iż za Jej przyczyną doznała polepszenia w chorobie.

***

Marya Pawleta z Miejskiego Szarleja (Górny Śląsk), w czasie nowenny, odprawianej przez dziatwę salezyańską w Oratoryum turyńskiem, doznała za wstawieniem Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki łaski, o jaką Ją była prosiła.

***

Dałam razu jednego wpisać do *Związku muszalnego Najsłodszego Serca Jezusowego* i poleciłam modlitwom dziatek salezyańskich, pewnego kapłana, który zbłąkał się, jak owieczka stracona. Modliliśmy się za nim wszyscy gorąco, teraz zaś słyszę, że już się nawrócił. Stało się to jedynie za przyczyną Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki, której serdeczne składam za tę łaskę wyproszoną dzięki.

(Górny Śląsk).

M. W.

***

Z całego serca dziękuję Najświętszej Wiernych Wspomożycielce za wyzdrowienie po długiej a ciężkiej chorobie. Lekarz twierdził już, że niema dla mnie ratunku, ale ja mimo to nie straciłam nadziei i od lekarza ziemskiego odwołałam się do niebieskiego, którym jest Wszechmogący Bóg, a to za przyczyną Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, w kościele salezyańskim w Turynie łaskami słynącej. Na moją intencyę odprawiła dziatwa salezyańska nowennę, a Matka Przenajświętsza wyprosiła mi zdrowie. Niech Jej za to będzie cześć i chwała!

Rudy (Górny Śląsk).

Marya Przybylius.

***

Dziękujemy trzy siostry Najświętszej Maryi Pannie Wspomożycielce za otrzymane łaski i dobrodziejstwa, a to wskutek nowenny, jaka się na naszą intencyę przed Jej cudownym obrazem w kościele *Maria SS. Ausiliatrice* w Turynie odprawiła.

Raciborz (Górny Śląsk).

J. G., P. G., J. P.

***

Dziękuję Panu Bogu za wysłuchaną prośbę za przyczyną Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych. Napadły mnie wielkie pokusy przeciw Wierze św.; już poczynałam wątpić, a gdybym dłużej w tym stanie była trwała, kto wie jak daleko byłabym zaszła. Zaczęłam jednak odprawiać nowennę do Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych; zaledwie ją ukończyłam, znikły wszystkie pokusy, a z niemi okazye do grzechu.

Raciborz (Górny Śląsk).

H. P.

***

Przez kilka miesięcy cierpiałem na kamień. Żaden lekarz nie mógł mi pomódz. Trapiony chorobą udałem się do Przełożonych Oratoryum salezyańskiego w Turynie z prośbą, ażeby się wspólnie ze swą dziatwą modlili za mną do Najsłodszego Serca Pana Jezusa za przyczyną Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych. Kiedy mi czcigodni OO. Salezyanie donieśli o rozpoczęciu nowenny, odprawiałem ją wspólnie z nimi i przystąpiłem do św. Sakramentów Pokuty i Ołtarza. Od razu doznałem łaski, o jaką prosiłem, choroba przestała mi dolegać i czuję się całkiem zdrowy. Za co najserdeczniejsze składam podziękowanie Najsłodszemu Sercu Pana Jezusa i Najświętszej wszystkich wiernych Chrześcijan Wspomożycielce. Przysyłam jeszcze raz ofiarę na Jej kościół, otrzymaną zaś łaskę proszę ogłosić w **„Wiadomościach salezyańskich.“**

Kobylin (Wielkie Księstwo Poznańskie).

Walenty Miedziński.

***

Niech Imię Najświętszej Wspomożycielki Chrześcijan będzie wysławiane od wszelkiego stworzenia! — Donoszę Wam, czcigodni Ojcowie, iż żona moja, która tak na zdrowiu podupadła była, iż tutejsi lekarze żadnej ulgi jej sprawić nie zdołali, po odprawieniu nowenny do Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, we Waszem *Oratoryum* w Turynie, w czasie której przystąpiliśmy do św. Sakramentów Pokuty i Ołtarza, dziewiątego dnia tak się uczuła zdrową i mocną, jak gdyby nigdy nie była chorowała, i po dziś dzień jest od owej choroby wolną. Za co niech będzie Panu Bogu i Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, cześć i chwała!

Proszę także jeszcze o dalsze modły Wielebnych OO. Salezyanów i wychowywanej przez nich dziatwy, aby mi najłaskawszy Bóg w mojej starości udzielił siły i ducha do dalszego rozkrzewiania tego świętego dzieła,

przez naszego Ojca, X. Jana Bosko, założonego.

Kościerzyna (Prusy Zachodnie).

Jan Bussendowski, nauczyciel emeryt.



Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, dziękuję z całego serca za odebrane łaski i za uzdrowienie dziecka mego. Skoro tylko w Oratoryum turyńskiem poczęto odprawiać nowennę, zaraz choroba ustała; przekonałem się o tem, porównywując datę listu, który dziwnym trafem otrzymałem dopiero później, i dzień rozpoczęcia nowenny, jaki tam był wymieniony.

Lipiny (Górny Śląsk).

Mikołaj Masalski.



Za otrzymaną łaskę i wysłuchanie prośby od Najsłodszego Serca Jezusowego za przyczyną Najświętszej Maryi Panny, Wspomożycielki Wiernych, zasyłam ofiarę na cele Zgromadzenia salezyańskiego i polecam się także nadal modlitwom Wiel. OO. Salezyanów i ich wychowanków.

Wrocław (Śląsk).

Antonina Bilińska, wraz z mężem.



Przesyłam w załączeniu 5 marek jako *votum* dla Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki za wysłuchanie pewnej mej prośby, oraz jako dalsze polecenie się Jej Opiece, prosząc o nowennę w Oratoryum turyńskiem na intencyą, abym z wszelkich obecnych, nieprzyjemnych zatargów i interesów pieniężnych, *na słuszności opartych,* wyszedł zwycięsko, jak również o pomyślny rozwój interesu mego.

Przy każdej doznanej pomocy Bożej, zobowiązuję się czcigodnym Ojcom przesłać jako *votum* dziękczynne dla Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki kwotę w wysokości 5 marek.

Poznań.

Antoni Choynacki, architekt.



Składam publiczne podziękowanie Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i Najśw. Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, za wyzdrowienie z ciężkiej choroby, w ciągu której opuszczony byłem nawet od lekarzy. Nie opuściła mnie jednakże Lekarka niebieska, za co niech Jej będzie wieczna cześć i chwała! Polecam się także nadal modlitwom Waszym i Waszych dziatek, czcigodni OO. Salezyanie, polecam również moją rodzinę.

Waverly (Stany Zjednoczone).

R. Fautsch.



Marya Czech z Pyskowic (Górny Śląsk) nadsyła 10 marek ofiary na cele Zgromadzenia salezyańskiego w dowód wdzięczności za ratunek, udzielony jej przez Najśw. Maryą Pannę Wspomożycielkę i wysłuchanie jej próśb w ciężkiem położeniu.



Syn mój, Ignacy, odsłużywszy pięć lat w legii zagranicznej, wysłany z pułkiem do Indyi Wschodnich, za ostatniego swego pobytu w Saigon donosił, że był przeznaczony jako sierżant w randze oficera na posadę „*garde principal*“ do Cammon (należącej do kolonii francuskich w ziemi Laos, Indo-Chiny), dokąd zamierzał się udać w grudniu r. 1896.

Od owego czasu nie dał o sobie znaku życia.

W styczniu b. r. udała się stroskana rodzina moja do Wiel. OO. Salezyanów z prośbą, ażeby przy sposobności wysyłania misyonarzy w różne strony świata i przez swoje rozległe stosunki, dowiedzieli się o teraźniejszem miejscu pobytu pułku mego syna, jak również, czy żyje, lub też śmierci padł ofiarą. Prosiliśmy zarazem o nowennę dziatek z Oratoryum turyńskiego na naszą intencyę.

Z radością przychodzi mi donieść Wiel. Ojcom, że Ignacy w tych dniach właśnie pisał i doniósł, że jest zdrów i że przebywa w Pnom Penh, w państwie Kambodja, gdzie zajmuje posadę.

Dzięki składamy Najświętszej Matce Wspomożycielce, bo z pewnością Jej to przemożnemu wstawieniu się za nami zawdzięczam wraz z całą moją rodziną uspokojenie co do losu i miejsca pobytu mojego syna.

Poznań.

Stanisław Belakowicz.

* * *

X. Stanisław Adamczyk, proboszcz r. l. w Tłustem (Galicya) nadsyła ofiarę *cum gratiarum actione Beatissimae Virgini Mariae,* **Auxilio Christianorum**, *et cum humillimis precibus, ut sibi sit semper Mater.*

* * *

Publiczne składam podziękowanie Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, gdyż za Jej tylko przyczyną do Najsłodszego Serca Jezusowego odzyskałam zdrowie i zupełny spokój, za co z głębi serca pokorne, wdzięczności pełne składam Jej niniejszem dzięki.

Kobylin (Wielkie Ks. Poznańskie).

Wdzięczna Córka Maryi
Marya Hubert.

* * *

Serdeczne składam podziękowanie Najsłodszemu Sercu Pana Jezusa i Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, za wyleczenie z gardłowej choroby i żony mojej.

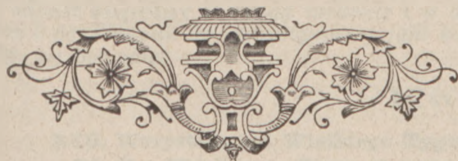
Maciejkowice (Górny Śląsk).

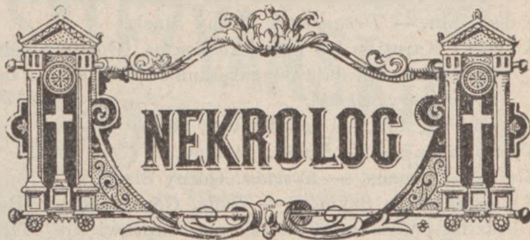
Henryk Wiechuła.

OŚWIADCZENIE.

Niniejszem oświadczamy uroczyście, że w poczuciu zupełnego posłuszeństwa dla dekretów papieskich, a mianowicie w myśl dekretów Ojca św., Urbana VIII., *z* 13 *marca* 1625 *i* 5 *lipca* 1634 *w sprawie wypadków cudownych, poddajemy całą treść pisma niniejszego wyrokom św. Kościoła katolickiego, i że wszystkim cudom i nadzwyczajnym zdarzeniom, opowiedzianym przez nas w dobrej wierze, o których Kościół św. jeszcze nie zawyrokował, jedynie tylko ludzką przyznajemy wiarogodność, nie wyprzedzając ani przesądzając orzeczeń Stolicy świętej, której zawsze i wszędzie chcemy okazać uległość i posłuszeństwo.*

Redakcya.





ZMARLI POMOCNICY.

Ziemie Polskie.

Adamczewski Stan. restaurator, — *Poznań.*
Anders F., kupiec, — *Szubin,* Wielkie Księstwo Poznańskie.
Andrzejewski A., m. krawiecki, — *Poznań.*
Bąkowski Apol., kupiec, — *Poznań.*
Bilski S., m. ślusarski, — *Grabów,* Wielkie Księstwo Poznańskie.
Bochen Jan, — Górny Śląsk. (Rodzina nadesłała 60 marek na odprawienie *Mszy św. gregoryańskich*).
Böhm Jan, — *Bytom,* Górny Śląsk.
Borski Fr., kupiec, — *Gdańsk,* Prusy Zachodnie.
Broll Jan, — *Królewska Huta,* Górny Śląsk. (Rodzina nadesłała 60 marek na odprawienie *Mszy św. gregoryańskich*).
Chojnacki M., — *Poznań.*
Chudziński Hieronim, radca budowniczy, — *Piła,* Wielkie Księstwo Poznańskie.
Derda, mistrz szewski, *Skarszewy,* Prusy Zachodnie.
Drozdowski, m. kowalski, — *Skarszewy,* Prusy Zachodnie.
Duda Paweł, — *Bismarkowa Huta,* Górny Śląsk.
Frankowski S., m. piekarski, — *Kłecko,* Wielkie Księstwo Poznańskie.
Gawenda Tomasz, — *Rokitnica,* Górny Śląsk.
Górkiewicz W., m. młynarski, — *Stęszewo,* Wielkie Księstwo Poznańskie.
Górski A., wyszynk wódek, — *Kórnik,* Wielkie Księstwo Poznańskie.
Grabowski M., m. piekarski, — *Gniezno,* Wielkie Księstwo Poznańskie.
Grau Marya, — *Nidzbark,* Prusy Zachodnie.
Grytz Antoni, — *Miedary,* Górny Śląsk.
Hanus Feliks, robotnik, — *Wieszowa,* Górny Śląsk.
Jarecki M., m. kowalski, — *Borek,* Wielkie Księstwo Poznańskie.
X. Jarochowski Cypryan, proboszcz, — *Pempowo,* Wielkie Księstwo Poznańskie.
Jerzyk St., m. rzeźnicki, — *Kościan,* Wielkie Księstwo Poznańskie.
Kaczmarek Albina, — *Brosławice,* Górny Śląsk.
Klacbacz Jakób, — *Mikołów,* Górny Śląsk.
Koczy Piotr, — *Radlin,* Górny Śląsk. (Rodzina nadesłała 60 marek na odprawienie *Mszy św. gregoryańskich*).

Knaś Barbara, — *Królewska Huta*, Górny Śląsk.
Komor Józef, — Górny Śląsk. (Rodzina nadesłała 60 marek na odprawienie *Mszy św. gregoryańskich*).
Korkuć Teresa, — *Rostow* nad Donem, Rosya.
Kost Jan, — *Urbanowice*, Górny Śląsk.
Kozieł Karolina, — *Stare Tarnowice*, Górny Śląsk. (Rodzina nadesłała 60 marek na odprawienie *Mszy św. gregoryańskich*).
Kozubek Jan, — *Godullahütte*, Górny Śląsk.
Krzesińska, — *Berlin*, Niemcy.
Kulla Klemens, — *Kosztów*, Górny Śląsk.
Kusznizius Szymon, — *Ruda*, Górny Śląsk. (Rodzina nadesłała 80 marek na odprawienie *Mszy św. gregoryańskich*).
Kwasigroch Augustyn, — *Janowice*, Górny Śląsk.
X. Ligęza Ludwik, — *Dylągowa*, Galicya.
Lopacz Karolina, — *Batenbrock*, Westfalia.
Łosiński Michał, — *Wildau*, Prusy Zachodnie.
Mateja Szymon, robotnik, — *Wieszowa*, Górny Śląsk.
May Dr. R., fabryka chemiczna, — *Poznań*.
Metelski J., kupiec, — *Kórnik*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Mizgalska, — *Kościan*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Mżyk Franciszka, — *Chorzów*, Górny Śląsk. (Zmarła przeznaczyła jeszcze za życia sumę 100 marek na odprawienie *Mszy św. gregoryańskich* zaraz po swojej śmierci).
Nawrocki G., — *Berlin*, Niemcy.
Nowak Ewa, — *Bruch*, Westfalia.
Nowak Jan, — *Dolne Marklowice*, Górny Śląsk.
Ogann Paweł, robotnik, — *Wieszowa*, Górny Śląsk.
Painota Julia, — *Dąb*, Górny Śląsk.
Pawleta Aleksander, — *Miejski Szarlej*, Górny Śląsk. (Rodzina nadesłała 60 marek na odprawienie *Mszy św. gregoryańskich*).
Piasecki P., m. rzeźnicki, — *Szubin*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Pietzka Jan, — *Radoszów*, Górny Śląsk. (Rodzina nadesłała 60 marek na odprawienie *Mszy św. gregoryańskich*).
Pisarczyk Franciszka, — Górny Śląsk.
X. Polończyk Augustyn, — *Sułkowice*, Galicya.
Powidzki J., aptekarz, — *Jarocin*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Rezmerowski J., skład tow. kol., — *Złotowo*, Prusy Zachodnie.
Rozwadowski Franciszek, — *Babin*, Galicya. (Rodzina nadesłała 62 fr. na odprawienie *Mszy św. gregoryańskich*).
X. Ryński Stanisław, dziekan, — *Szubin*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Schauf Marcin, — *Garki*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Schmidt K., m. krawiecki, — *Międzychód*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Semski Józef, — *Nattern*, Warmia.
Siodłoczek Maryanna, — *Dzielnica*, Górny Śląsk.
Słonecki Jan Duklan, poseł na sejm, — *Jurowce*, Galicya.
Słotta Kasper, robotnik, — *Wieszowa*, Górny Śląsk.
Smorowski, hdl. tow. kol., — *Szubin*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Sosna Magdalena, — *Dolne Marklowice*, Górny Śląsk.
Stein T., — *Miłosław*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Szokalski Stanisław, — *Inowrocław*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Szyfter Fr., restaurator, — *Stęszewo*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Szymaczek Eleonora, — *Zaborze B.*, Górny Śląsk.
Szurliński, m. szewski, — *Strzelno*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
X. Werner Wilhelm, administrator, — *Żniatyn*, Galicya.
Wicher Wawrzyniec, — *Szoffzitz*, Górny Śląsk.
X. Widlarz Fr., wikaryusz, — *Czarna*, Galicya.
Wróblewski J., m. kowalski, — *Wartenburg*, Warmia.
Zielosko Antoni, *Kosztów*, Górny Śląsk.
Zielosko Wojciech, — *Kosztów*, Górny Śląsk. (Rodzina nadesłała 120 marek na odprawienie *Mszy św. gregoryańskich*).
Ziemniewicz J., — *Jarocin*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Zinke Teodor, — *Zabrze*, Górny Śląsk.
Zuber Julia, — *Radun*, Górny Śląsk.



AVE MARIA, REQUIEM.

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef GAMBINO. — Drukarnia salezyańska. Turyn, 1898.